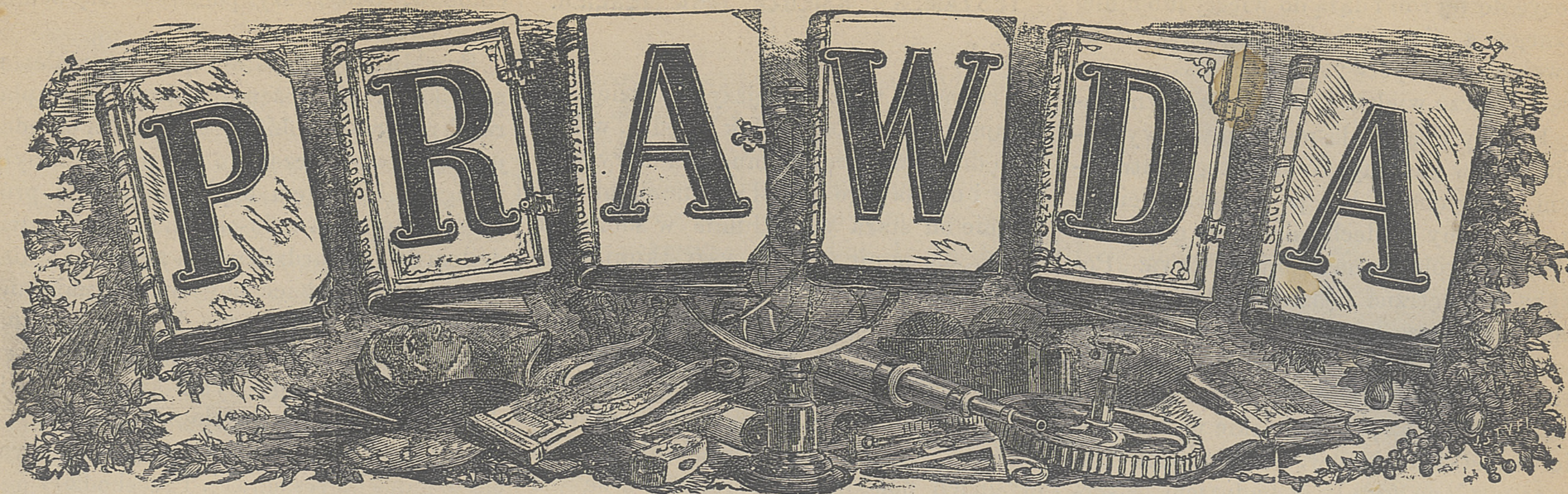
№ 13. Warszawa, dnia 26 (14) Marca 1881 r. Rok I



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Do dzisiejszego numeru **Prawdy** dołączamy dla abonentów prowincyonalnych, jako *dodatek bezpłatny* pierwszą połowę, sześć arkuszy, pracy Pypina p. t. *Kwestya polska w literaturze rosyjskiej.*

Abonenci miejscowi, oraz prenumerujący za pośrednictwem księgarń, skutkiem niemożności zdążenia z ekspedycyą, otrzymają dodatek w ciągu bieżącego tygodnia lub przy numerze następnym.

Bezpłatny dodatek następny, będący dokończeniem obecnego, roześlemy nie w końcu, lecz na początku kwartału następnego.

OKÓLNIK.

Pierwszy błysk przytomności po wstrząsającem wrażeniu oświecił pytanie: w jakim kierunku posunie się nawa państwa? Pytanie to rzuciło się również całą mocą na kolumny gazet zagranicznych. Przez kilka dni nie było w całej Europie nic słychać, prócz nieskończonego powtarzania tej jednej zagadki. Trudno rzec, kogo ona bardziej niepokoiła: czy Rosyę, oczekującą nowego hasła polityki wewnętrznej, czy zagranicę, a zwłaszcza niemców, strwożonych obawą nieprzyjaznego im zwrotu w zewnętrznej. To wyczekiwanie, tę trwogę odczuto w najwyższych sferach, bo prędzej niż zwykle, z widocznym celem szybkiego ukojenia strachów i przecięcia niepożądanych domysłów, ministerium spraw zagranicznych uchyliło rąbek zasłony, pokrywającej zamiary rządu, okólnikiem sekretarza stanu Giersa do przedstawicieli Rosyi za granicą. Gazety rosyjskie i obce rzuciły się na ten komunikat z bezprzykładną chciwością, wybadały go z każdego wyrazu, opukały i osłuchały na wszystkie strony, pragnąc dowiedzieć się od niego najważniejszych tajemnic. Rzecz prosta a w takich wypadkach bardzo naturalna, że zżuty, wynicowany, poskubany na szarpie posłużył on do takich przypuszczeń, które może w jego wątku nie mają ani jednej nici. Punktem głównych dociekań dziennikarskich w okólniku ze strony wewnętrznej jest zapewnienie, że rząd starać się będzie— „przedewszystkiem o rozwój państwowy, ściśle związany z postępami praw obywatelskich oraz ze sprawami ekonomicznemi i społecznemi." Ogólne to wyrażenie *Goniec Urzędowy*, zapowiadając w przeddzień ukazanie się okólnika, nazwał „niezboczeniem z drogi mądrych reform," po której szedł poprzedni Monarcha. Z tych to urzędowych słów tryska dla prasy rosyjskiej główny zdrój nadziei, z nich rozpina się dla niej tęcza po strasznej burzy. Po burzy? Chmury jeszcze nie zeszły, a *Mosk. Wiedomosti* usiłują nazad spędzić nawet te, które już się rozbiegły. Niewyczerpany ten, wiecznie złorzeczeniami i oskarżeniami zionący wulkan dymem swoich wybuchów zaściela cały widnokrąg państwa. Wszędzie widzi spiskowców, buntowników, morderców, w prasie, w administracyi, no i gdzie? Naturalnie śród ludzi niezdolnych nawet pojąć tego uraganu, który koło nich przelatuje i ich ubogą chatą ustawicznie trzęsie, śród szczutych przez organ Katkowa zającow, obawiających się podnieść głowy z pod miedzy, ażeby ich nie pogoniły katkowowskie charty, śród nas! Przez sądy polityczne i wojenne przesunął się w ostatnich latach długi szereg przestępców, między którymi nie było ani jednego polaka, a mimo to *Mosk. Wiedomosti* ciągle błyskały ku nam swymi kłami; cóżby to było, gdyby u podkopu lub przy bombie schwytano naszego szalonego rodaka! Wszystkie wichry i trąby powietrzne, wszystkie gardła dzikich zwierząt nie wydałyby takiego ryku, jakiby się wydarł wtedy z *Mosk. Wiedomosti!* Minął już czas, minęła potrzeba wzywania na świadectwa naszych dziejów, usposobień, zasad moralnych i celów dla zabezpieczenia się od ukąszeń tego padalca. Od chwili, gdy mu w dziennikarskiej zoologii naznaczono właściwe miejsce, wiadomo wszystkim, jaki jad pod jego żądłem się kryje. Ale... wzdrygnąwszy się na ten widok, powróćmy do urzędowego głosu.

Za granicą, a nadewszystko w Niemczech okólnik ministerium spraw wewnętrznych wywarł bardzo korzystne wrażenie. Nic dziwnego. Idea zjednoczonej lub zrzeszonej słowiańszczyzny, głoszona pod rozmaitemi postaciami przez jej wyznawców, jest najdokuczliwszą marą, tłoczącą w najrozkoszniejszych snach piersi niemieckie. Ile razy więc, bodaj pozornie, zwiększy się możliwość bodaj częściowego urzeczywistnienia tej idei, usypania grobli i spuszczenia stawideł, powstrzymujących zalew niemiecki, po całym jego obszarze przebiega dreszcz śmiertelnej trwogi. Słusznie zaś czy niesłusznie, istniało w Niemczech powszechnie niemal przekonanie, że skończyła się dla nich szczęśliwa epoka przyjaźni z Rosyą, że niedługo rosyjskie bagnety z jednego boku a francuskie z drugiego rozpoczną kłuć wypasione cudzą krzywdą ciało Germanii. Przeraża niemców myśl, że może Rosya, prędzej czy później, podejmie to samo zadanie w słowiańszczyźnie, które Prusy podjęły w plemieniu germańskiem, że więc musi się zetrzeć ze swym niebezpiecznym sąsiadem.

Wszystkie niemal ludy słowiańskie nęcą Rosyę do tej roli i dążą do więcej lub mniej luźnego z nią związku. Dążenia te po oswobodzeniu półwyspu bałkańskiego nabrały jeszcze większej mocy i na równowagę Europy wschodnio-południowej wywierają wpływ znaczny. Wobec tego naturalnym jest głęboki, jak po zrzuceniu ciężaru, swobodny oddech niemców, gdy przeczytali w okólniku następujące słowa: „Polityka zewnętrzna będzie zupełnie pokojową. Rosya pozostanie wierną swoim przyjaciołom i stałą w uczuciach, uświęconych przez tradycye, odpowiadając jednocześnie wzajemnością na przyjacielskie postępowanie wszystkich państw.“ Jakkolwiek słowa te wysłane zostały pod adresem „wszystkich państw,“ mają one jednak szczególne znaczenie dla Niemiec, które ich najbardziej wyczekiwały i najradośniej przyjęły. W mgnieniu oka ton ich prasy się zmienił; już nie zaglądają do arsenałów, nie czyszczą koni, nie nabijają karabinów dla ruszenia w pole... *nach Osten.* Mają oni nadzieję iść dalej zwycięzko w tym kierunku, ale bez broni.

Nie zapisujemy szczegółowo wrażeń, jakie okólnik ministeryalny wywarł w innych państwach, gdyż one zbiegły się we wspólnem uczuciu zadowolenia, a bez żadnych odmian wyraźnych.

Uważamy czytelników naszych na tyle za doświadczonych, że nie powątpiewamy ani na chwilę o ich trzeźwej ocenie zjawisk, które wyżej przytoczyliśmy. Dla wzmocnienia tej trzeźwości uważamy za stosowne wyznać, że zbierając skąpe światełka dla rozjaśnienia obecnego mroku, nie mieliśmy i nigdy nie będziemy mieli zamiaru migać niemi przed oczyma czytelnika i pobudzać go do ścigania zwodnych odblasków. Jakkolwiek w sprawach politycznych trzeba i należy mieć szalki bardzo czułe, wielkie znaczenie ma to tylko, co ma wielką wagą. Wagę zaś taką posiadają nie filologiczne komentarze gazet do okólników, ale fakta spełnione.

TESTAMENT KSIĘDZA JANA MESLIER.

Trudno o wymowniejszy, bardziej poruczający obraz nad widok księdza, w którego duszy wiedza rozdmuchała iskry wątpień i objęła jego umysł płomieniami. Daremnie on stara się stłumić w sobie ten ogień, daremnie gasi go wszystkimi przyborami dogmatyzmu; pożar się szerzy i w strasznych męczarniach zabija rozpaczliwie szamoczącą się ofiarę. W pasmo historyi każdego narodu wplatały się takie tragedye. Widzimy w naszej Jezierskiego, Staszica i Kołłątaja, najradykalniejszych myślicieli polskich, przybranych w suknie duchowne. Ile w duszach tych rozegrało się strasznych walk sztucznego przymusu z naturalnem pragnieniem; ile skrępowana myśl pozrywała więzów, zanim wystąpiła swobodna i śmiała! Szczęśliwa, jeśli posiadała siłę do wyzwolenia się za życia i nie skryła tajemnicy swego buntu w grobie, albo nie musiała jej z pod mogiły zdradzać!

Tak właśnie, z trumny, po wielu latach odsłoniła swą maskę myśl skromnego, do ostatnich czasów prawie nieznanego księdza Jana Meslier, którego *testamentem* mamy się właśnie dziś zająć. Wskrzeszamy go nie po to, ażeby przed nami wyspowiadał się z grzechów swej niewiary, ale dla tego, że do historyi filozofii mamy wprowadzić jednego z najstarszych ojców jej empirycznego kierunku, myśliciela, którego duch uwolniony z pod groźby, dopomina się od nas uznania praw swoich.

Jan Meslier, syn tkacza w wioseczce Mazerny (Szampania), urodził sie w r. 1664 (lub według innych 1678). Oddany do seminaryum, obok teologii studyował filozofię w pismach Descartes'a, Montaigne'a, Bayle'a i innych. Otrzymawszy probostwo w Etrepigny, zakończył tam życie w r. 1729 (lub 1733). Dobroczynny aż do niepamiętania o sobie, skłonny do melancholii i wrażliwy, umarł skutkiem starcia z arcybiskupem w obronie pokrzywdzonych chłopów, poleciwszy pochować się w ulubionym ogrodzie.

Rewidując pozostałość po nim, znaleziono z 366 kart złożony w dwu egzemplarzach rękopis p. t. *Mój testament*. Na okładce jednego, przeznaczonego dla parafian, była uwaga: „Poznałem błędy, nadużycia, próżności, głupstwa i złości ludzkie, znienawidziłem je i pogardziłem. Za życia nie śmiałem tego powiedzieć, powiem przynajmniej umierając i po śmierci. W tym celu spisałem obecny pamiętnik, ażeby posłużył za świadectwo prawdy tym, którzy go widzieć i, jeśli im się podoba, czytać będą.“

Oprócz dwu rękopisów trzeci znajdował się w kancelaryi sądowej. Przechodziły one rozmaite koleje, krążąc długo w kopiach. R. 1762 Voltaire wydał z nich wyciąg p. t. *Uczucia proboszcza Mesliera*, który rozbiegł się tak szybko, że ponowiono wydanie. W r. 1772 Holbach puścił w świat inny wyciąg p. t. *Zdrowy rozsądek proboszcza Mesliera*, podczas rewolucyi ogłoszono *Katechizm proboszcza Mesliera*, a nawet postanowiono uczcić autora pomnikiem, mimo to oryginał dzieła pozostał nieznanym. Przypadek dopiero nasunął w ręce pewnemu holendrowi odpis, który wreszcie w r. 1864 ukazał się całkowicie po raz pierwszy w Amsterdamie, w trzech grubych tomach, p. t. *Le Testament de Jean Meslier, Curé etc.*, łącznie z przedmową, życiorysem i listami Voltaire'a, a obecnie wyszedł (w New-Yorku!) przekład niemiecki Anny Knopp [1]).

We wstępie Meslier objaśnia cel swej pracy oraz powody, które go skłoniły do odkrycia jej dopiero po śmierci. Celem tym jest uwolnienie czytelnika od przesądów i błędów, które ujarzmiają człowieka, krępują duszę i przytłaczają życie. Przewidując burzę, jaka nad jego grobem się zerwie, apeluje do wyższego, wiecznego ro-

[1]) *Glaube und Vernunft, oder Le bon Sens des römisch-katolischen Priester Jean Meslier.*

DZIKI TOMEK.

III.

Tylko trudno mu było rozumieć, co on tutaj robił w tej wspaniałej sali, wśród tego świetnego zgromadzenia. Powiedzieli mu wprawdzie, iż sądzić go będą, alež to przecież nie dla niego roztoczono ten cały przepych. W lesie nikt nie wiedział, że biedny chłopak w zgrzebnej koszuli przypatrywał się zabawie państwa, a tutaj? Tutaj zapewne nie widziano go także. Ale w takim razie, dla czego wprowadzono go tu, dla czego posadzono na tej ławce?

Nie mógł tego pojąć. To, co słyszał, nie objaśniało go wcale. Widział na stole pałkę i pugilares Arona, widział ludzi z Maliniec, którym zadawano rozmaite pytania. Zadawano je i jemu także, potem panowie mówili coś długo, długo, ale on nic nie rozumiał, bo mówiono obcym językiem.

Jedynym łącznikiem pomiędzy nim a tym całym światem był adwokat, który siedział przed nim; ale i on nie zdawał się zważać na chłopca, jak zwykle pan na biedaka.

Był on u niego dwa razy w więzieniu i obiecał, że starać się będzie, ażeby go uwolniono. Teraz brała Jędrasa chęć wielka zwrócić się do niego i przypomnieć mu tę obietnicę, zapytać... ale nie śmiał: adwokat nie patrzał wcale w tę stronę. A potem, co on mógł obchodzić tak pięknego młodego pana, przybranego w cienkie sukno i w białą jak śnieg bieliznę, on przezwany dzikim Tomkiem, niedźwiedziem? Adwokat był tu widocznie na swojem miejscu, rozumiał, co mówiono, odpowiadał, był pomiędzy swoimi, zamieniał wkoło ukłony i uśmiechy. Czyż on mógł o nim pamiętać?

A jednak, nawet w tej ogromnej sali, której wysoki strop jaśniał światłem, Jędrasowi było duszno i ciasno. Przywykł do leśnych przestworów, do szumu wichrów, pierś jego rozwinięta potrzebowała szerokich oddechów, a oko—obszarów, dławiła go cela więzienia, nie znajdował w niej ani snu, ani nawet spoczynku, tak pożądanego dla ludzi spracowanych. Jędras spracowanym nie był, jak wiemy, pracy nie lubił, nie przywykł i nie czuł się do niej obowiązanym. Od dziecka obiegał lasy lub pasał trzody, a lasy te dostarczały mu zwierzyny, którą łowił w sidła i owoców rosnących dziko. Nie przywykł był zostawać pomiędzy czterema ścianami i bił się w nich jak zwierz w klatce.

Nie mówił nic, nie skarżył się, bo coś w naturze jego opierało się skardze, a zresztą, na cóż się miał uskarżać? Współtowarzysze, obyci z więzieniem, nawykli do niego, śmieliby się... ale kiedy wpatrzył się przez zakratowane okienko w błękit nieba, to byłby chciał jak ptak wyfrunąć stąd jednej chwili.

Nieraz, kiedy siedział na swoim tapczanie przez całe godziny milczący i ponury, to myślał tylko o tem, że mury te były grube, a przecież drągiem żelaznym rozbićby je można; że krata mocna i okienko wysokie, a przecie są pilniki, coby je przecięły i linki, na których spuścićby się można. Nie próbował przecież ucieczki, bo sam nie wiedział jeszcze, co z nim będzie. Ale wzrok jego coraz bardziej ponury świadczył, że byłto jeden z tych więźniów, co nie znoszą niewoli, co nie ustają w usiłowaniach, nie bacząc na niebezpieczeństwo, ani na karę żadną, i albo wydostaną się na swobodę, albo umrą, nie mogąc znieść zamknięcia.

Twarz jego pospolita z pozoru, przedstawiała przecież charakterystyczne cechy. Nie było w niej żadnych rysów, ale za to potężne instynkta drgać się zdawały w szerokich nozdrzach, w ciężkich zarysach dolnej szczęki kwadratowej i nieco naprzód wysuniętej, jak u antropoidów. Krzaczyste brwi zwieszały się nad oczami o wejrzeniu

zumu i sprawiedliwości. Zresztą burza ta osobiście wcale go nie obchodzi. „Umarli — powiada — do których idę, o nic się nie troszczą.“ W historyi filozofii niewielu naliczyć można myślicieli równie radykalnych jak ksiądz Meslier. Stróż teologii z przeznaczenia: okazuje się najgwałtowniejszym jej wrogiem z przekonania. Jest ona, według niego, tylko „zamkiem powietrznym,“ „usystematyzowaną nieznajomością przyczyn naturalnych.“ Tylko wiedza, rozum, swoboda składają się na szczęście człowieka; tylko przez wyleczenie z przesądów można go uwolnić od występków i cierpień. Jedyną podstawą moralności może być zdrowy rozum i dokładne poznanie porządku społecznego. „Prawda jest prosta, błąd powikłany; głos natury zrozumiały, głos kłamstwa dwuznaczny i zagadkowy. Droga prawdy jest prosta, droga oszustwa ciemna i krzywa.“ Dalej: „w rzeczach religii wszyscy ludzie są wielkiemi dziećmi.“ Wszystkie nauki posunęły się naprzód, tylko jedna nauka o Bogu pozostaje na tym samym stopniu, na którym raz stanęła. Dziki nie różni się w niej od ucywilizowanego. Wszystkie zjawiska, których nie umiemy sobie wytłomaczyć, przypisujemy „duchowi.“ Świat w własnem łonie posiada swoją przyczynę. Materya porusza się sama w sobie i przez siebie. Ruch i rozciągłość są jej własnościami.

Pytanie, skąd człowiek pochodzi, należy do pytania ogólniejszego: skąd pochodzi cała natura. Wszechświat i to, co w nim istnieje, nie jest skutkiem przypadku, lecz konieczności. „Przypadek“ — to tylko wyraz, osłaniający naszą nieznajomość przyczyn, z których wynikają zjawiska.

Przypisywanie Bogu własności ludzkich jest niedorzecznem. Jeszcze niedorzeczniejsze trzecie twierdzenie, że Bóg stworzył świat dla swej chwały, gdyż istota doskonała, sama z siebie zadowolona, nie potrzebowała tego, a wreszcie, jak wyznają sami teologowie, twory jej ciągle ją znieważają. Nie mogło być również celem stworzenia uszczęśliwienie człowieka, gdyż on szczęścia używa bardzo rzadko.

Następnie krytykuje autor pojęcie piekła, wykazuje sprzeczność między przeznaczeniem i wolną wolą, broni determinizmu, wreszcie śpiewa jak Lukrecyusz obszerny hymn na temat:

Tantum religio potuit suadere molorum.

Nie możemy bliżej zaznajamiać czytelnika z tą sferą jego poglądów; są one bardzo blisko pokrewne wywodom Lamettriego, Voltaire'a, Helvecyusza lub Holbacha. Należy wszakże zwrócić uwagę na stosunek tego pokrewieństwa. Dzięki wielu przyczynom, ale nadewszystko gardzącej chronologią „konstrukcyi“ Hegla, filozofów francuskich XVIII w. ustawiano w dowolnym, ich rzeczywistemu następstwu zupełnie przeciwnym szeregu. Encyklopedya uchodziła za obszerne morze, z którego poprzedzający ją mieli czerpać do syta. Dopiero Lange (w *Historyi materyalizmu*) a za nim Du-Bois-Reymond, zrewidowawszy tę fantastyczną chronologię i zaprowadziwszy w niej ład, wykazali, że ten właśnie, którego najbardziej oskarżano o korzystanie z innych, Lamettrie był ojcem nowożytnego materyalizmu we Francyi. Jeżeli więc uwzględnimy tę ważną okoliczność, że ksiądz Meslier urodził się o 40 przeszło lat wcześniej od Lamettriego a o 20 od Voltaire'a, nie mówiąc o Holbachu, Helvecyuszu i późniejszych, to wypadnie, że on może jest właściwym ojcem tego kierunku myśli na gruncie francuskim. Bo jakkolwiek *Testament* długo pozostawał w ukryciu, otworzono go dość wcześnie, skoro Voltaire i Holbach ogłaszali zeń wyciągi.

Dzieło księdza Mesliera. spóźniwszy się o półtora przeszło wieku, nie wywiera dziś na nas, już dawno oswojonych z tą filozofią, zbyt wielkiego wrażenia, zdumiewa tylko swą historyczną datą. Na współczesnych jednak, gdyby mogło było wystąpić w porę, oddziałałoby niezawodnie z tą samą siłą, co *Systemat natury* lub *O duchu* Helvecyusza. W każdym razie, jako dzieło księdza, pozostanie zawsze pomnikiem niemocy dogmatyzmu nad zbuntowaną myślą ludzką.

A. S.

MATKA.

(Zdarzenie prawdziwe.)

Była głodna i chora. Troskami wybladłą
Czworo płaczących dzieci dokoła obsiadło,
I nie miała czem głodu ukoić tych dziatek,
Więc bawiła kwilące obyczajem matek,
I — śpiewając, to śmiejąc się wśród głodu [czkawki —
Wymyślała im różne figle i zabawki;
Lub prawiła o pani, co strojna w atłasy,
Przyniesie obwarzanków wkrótce i kiełbasy.
A mówiąc to—kłamała, w myśli, że oszuka
Głód dzieci, bo wiedziała, że nikt nie zapuka
Do drzwi nędzy zwyczajnej, gdy jej bra- [knie chleba,
I że—by litość wzbudzić—tragedyi potrzeba.

I broniła tak dziatek swych przed głodu [sępem,
Walcząc z nim beznadziejnie kłamstwem [i podstępem.
Lecz daremna obłuda, i męztwo, i praca,
Bo oszukany chwilkę, znów srozszy powraca
Głód niemy, co przedstawień, ni próźb nie [rozumie;
— Cóż pocznie ta biedaczka, kiedy kraść [nie umie?—

Więc głodnego robactwa, gdy płacz nie [ustawał,
Wydobyła z barłogu swego sznura kawał;
— Czy, że go kupić nie chciał nikt? czy — ot!— przypadek?
Ostatni już po mężu niesprzedany spadek!—
I uśmiechnięta, jak te, co żartują, trzpiotki:
—„Cyt—rzecze—mi aniołki! cyt moje pie- [szczotki!
Będzie chleb, — będzie mleczko ciepłe na [śniadanie,

---

przymglonem, jakie zwykle mają ludzie mało zważający na zjawiska zewnętrzne, ludzie nieprzywykli do obserwacyi lub też owładnięci chwilą i sytuacyą. Czaszkę porastał mu włos bujny, ciemny, zwichrzony, a czaszka ta, ściśnięta w skroniach, szpiczasta, miała charakterystyczne zarysy, świadczące o małym rozwoju władz umysłowych. Myśli snuły mu się po głowie niewyraźne, podobne do marzeń. Kto inny w jego położeniu byłby może zastanawiał się nad tem, że teraz los jego się rozstrzyga, albo też widząc pałkę, na której jeszcze widne były ciemne plamy krwi ludzkiej, przypomniałby sobie zbrodnię, o jaką go obwiniono i wzdrygnął się na jej pamięć. Ale Tomek Jędras patrzał tylko osłupiały. Przyszło na niego zobojętnienie dziwne, jak bywa u tych, co nic na los swój wpłynąć nie mogą, co są przezeń pochwyceni i zmożeni. A co do krwi? Nie miał tych delikatnych nerwów, które wzdrygają się na każde przykre widowisko, krew nie sprawiała mu odrazy, zarzynał bez ceremonii zwierzęta, gdy tego było potrzeba, a ich żałosne ryki lub konwulsyjne miotania nie czyniły na nim wrażenia żadnego — krew zaś ludzka nie miała osobnej barwy.

Gdyby kto był w stanie zajrzeć do jego czaszki i rozwikłać chaotyczne myśli, jakie się po niej snuły, byłby naprzód znalazł tam bezwiedne podziwy, wspomnienia, obrazujące się przed oczyma, i pragnienie głuche, wściekłe, chociaż niewyznane, powietrza i swobody. Mury i ludzie zarówno mu obrzydli, zarówno przejmowali go wstrętem. Siedział teraz na pół skulony w swojej ławce, wielkie kościste ręce położył na kolanach i skubał machinalnym ruchem brzeg szarej sukmany niezgrabnymi palcami, którym bezczynność więzienia odjęła krzepkie ogorzenie a nie nadała delikatności, które z tego powodu były żółte i jakby przewiędłe. Głowa opadła mu na piersi a wzrok ponury błąkał się od audytoryum do sądu i obrońcy.

Na pytania, stawiane mu na początku sprawy, odpowiadał niechętnie monosylabami, naprzód dla tego, że wymownym nie był, a potem, że miał do ludzi nieufność podobną do tej, jaka rodzi się w sercu czarnoskórych do europejczyków. Ludzie zawsze byli mu nieprzyjaźni, a teraz czuł się nie wobec współbliźnich, ale istot zupełnie odmiennej natury. Przytem sąd był to w jego oczach naturalny nieprzyjaciel, nie rozumiał, co mówili ci ludzie, jak nie rozumiał piękności sali i wspaniałych przyborów, którym otaczano abstrakcyjną ideę sprawiedliwości, dla niego także zupełnie niepojętą.

Rodziły się w jego umyśle niepokoje i wątpliwości dziwne, a chociaż nie dolegało mu nic, chociaż siedział spokojnie na swojej ławce wśród przyjemnej atmosfery, umiarkowanie ogrzanej sali, przecież czuł jakieś umęczenie bez nazwy, a pot nieraz kroplami występował mu na czoło.

Gdyby był w stanie rozumieć streszczenie sprawy i mowę prokuratora, niepokój jego byłby stokroć większy. Rzeczywiście nikt nie zdawał się powątpiewać, iż był mordercą. Wprawdzie nie przyznawał się do winy, i na wszystkie zapytania tak w toku śledztwa, jak przy samej sprawie, odpowiadał przecząco; przecież to bynajmniej nie zachwiało przekonania sędziów, nawykłych do podobnego postępowania zbrodniarzy. Trzeba też przyznać, że przeciw Jędrasowi walczyła sama jego powierzchowność i ponure wejrzenie, w dal utkwione a uciekające przed wejrzeniem człowieka, jak wzrok nocnego ptaka rażony światłem.

Bez najmniejszej wątpliwości on był winien.

Przekonanie to wypisane było wyraźnie na twarzach sędziów i tych wszystkich z pomiędzy publiczności, którzy zajmowali się jej przebiegiem. Gdyby publiczność ta składała sąd przysięgłych, potępienie jego byłoby rzeczą niewątpliwą.

Rozumiał to doskonale młody obrońca, ale był on jednym z tych ludzi, co nie cofają się nigdy przed trudnością, którzy nie-

I przyniosą wam ciastek słodkich piękne
[panie,
Lecz wprzód figielek nowy pokaże wam
[matka.
Chachacha! patrzcie! patrzcie, bo to sztuka
[rzadka!
Ot, widzicie ten sznurek? Będzie śmiechu
[wiele!
Matka na nim zawiśnie, jak lampa w koś-
[ciele!"

I stało się jak rzekła.

Podstępy matczyne
Oszukały raz jeszcze zgłodniałą drużynę.
Więc—na myśl tę już samą mróz sercem
[przechodzi!—
Klaskali kurczom śmierci matkobójcy
[młodzi,
I wśród wesołych śmiechów tej dziatwy ulata
Duch wielkiej męczennicy w krainy za-
[świata;
Mniejsza o to: do piekła? do czyśca? do nieba?
— Dość że tam, gdzie już dzieci nie wołają
[chleba! —
Chochlik.

Z DZIENNIKARSTWA ROSYJSKIEGO.

Poważnego znaczenia miesięcznik *Russkaja Myśl* w ostatnim zeszycie (z m. marca roku b.) zawiera w naszej sprawie obszerny artykuł (p. N. K.), którego treść zasługuje na uwagę czytelników naszych. Rozprawka poprzedzona jest listem Chomiakowa o kwestyi polskiej, pisanym w r. 1848 i objaśnieniami nad nim, które wprawdzie nie mają z zaznaczonym artykułem organicznej spójni, uzupełniają jednak wywody autora ze strony historycznej, ilustrując powolność, z jaką tak zwana idea pojednania rozwija się w społeczeństwie rosyjskiem. Od list Chomiakowa z przed laty trzydziestu idzie w projektowanych środkach rozwiązania kwestyi o wiele dalej, niż najśmielsi z dzisiejszych rzeczników „prymirenija..." Ale przejdźmy do artykułu, którego treścią mamy się zająć. Podkreśliwszy na wstępie fakt rozmnożenia się ostatnimi czasy w prasie rosyjskiej artykułów poświęconych kwestyi polskiej, autor objaśnia to zjawisko samą koniecznością „pojednania," o którem myśl od pewnego czasu niejako unosi się w powietrzu. Jeśli zaś cała ta dyskusya rozwija się w sposób nieodpowiedni i sprawy ani o krok nie posuwa, przyczyną jest ta okoliczność, że na widownię występują najczęściej ludzie, którzy pragną dowieść, iż pojednanie jest niepodobnem, lub też stawiają warunki, uniemożliwiające wcielenie się idei. „My rosyanie — powiada autor — zbyt mało wogóle znamy Polskę i polaków dawnych i dzisiejszych, abyśmy mogli bez uprzedniego przygotowania rozstrzygać sprawę tak powikłaną, zwłaszcza w duchu pojednania i dlatego też po większej części milczymy, nie wiedząc, co powiedzieć, chociaż w zasadzie współczujemy tej dążności; odzywają się przeto za nas ludzie, nieprzyjaźni dla wszystkiego, co polskie."

Stąd rodzą się artykuły pisane pod hasłem *vae victis* lub *caveant consules*, którym nigdy nie odmawiają miejsca ani *Mosk. Wied.*, ani *Nowoje Wremia*, ani *Kijewlanin* lub wreszcie nieboszczyk *Biereg* z *Rosiją*. Napastniczość, nietolerancya i zarozumiałość—oto niezbędne cechy tych artykułów. Postawiwszy sobie pytanie: o ile podobne wycieczki wiernie przedstawiają samą sprawę — innemi słowy: czy ich autorowie znają istniejące dziś w rzeczywistości stosunki, które przedewszystkiem należy brać pod rozwagę, i odpowiedziawszy przecząco, autor wykreśla następujący, zdaniem jego, właściwy sposób postępowania. „Sądzę — powiada — że w artykułach o sprawie rosyjsko-polskiej mówić należy prawie wyłącznie o polakach, mieszkających w Rosyi wogólności a po szczególe w Królestwie Polskiem. O tych to polakach właśnie najmniej mówią nasi publicyści, chętnie rozprawiający o tem, co się dzieje w Galicyi, gdzie znajdują więcej materyału do pisaniny na temat o niepojednaniu. Obchodzą w Krakowie jubileusz Kraszewskiego — wnet rozlega się w pewnej części naszej prasy: *caveant consules!* Wyprawią owacyę cesarzowi Franciszkowi Józefowi — znowu gotowe *caveant consules!* A czyż te rzeczy wyczerpują cały obszar polskiego życia i czyż należy je wywłóczyć na pierwszy plan, gdy mowa jest o naszym stosunku do polaków, mieszkających w Rosyi?... Tymczasem w dziennikach naszych błąd ten popełniany jest zawsze." Rozprowadzając myśl tę dalej, autor dowodzi, że przeważne interesowanie się rosyan polityką ogólną i „polakami zagranicznymi" powoduje małą znajomość stanu rzeczy w tej części Polski, która ich najwięcej interesować powinna, t. j. w Królestwie. Wina to prasy, która ogółu nie poucza o tych stosunkach; korespondenci bowiem do pism rosyjskich z Warszawy piszą o mostkach i trotoarach, o sprawach kryminalnych, uroczystościach w ruskim klubie i — nic więcej. O żywotnych stosunkach kraju obowiązkowo milczą, miejscowa zaś prasa znajduje się w warunkach, które jej czynią niemożliwym należyty rozbiór tych rzeczy. Jakiż jest tego stanu skutek? Oto ludzie sumienniejsi (rosyanie) wolą milczeć, nie znając sprawy z gruntu, a mniej oględni zabierają głos, nie kusząc się nawet zajrzeć głębiej w tę *terram incognitam*. Nie uważają oni nawet za stosowne, aby pył starzyzny otrząsnąć z przedmiotu i odróżnić stan teraźniejszy od dawnego. Przy każdej sposobności dla rozstrzygnięcia kwestyi polskiej szukają oni wskazówek — w gimnazyalnych podręcznikach historyi. I nie dzieje się to bez przyczyny. Jakiż to bowiem wyborny system! O teraźniejszości sądzić według przeszłości — no, a w przeszłości Polska była szlachecką i klerykalną — zatem i dziś jest taką. Dzikie to niepomiernie — fakt jest faktem, że nasi polakożercy — powiada autor — patrzą na teraźniejszych polaków, jak im o nich opowiadają szkolne podręczniki historyi. Stąd pochodzi, że w wielu artykułach dzienników rosyjskich rozumieć trzeba tylko szlachtę, przejętą klerykalnemi dążnościami. Ci publicyści nie wiedzą wcale o tem, że i u nas również jak w innych krajach Europy feodalno-klerykalne zasady społecznego i umysłowego życia upadają, że i tu są ludzie pracujący w pługu postępu, że są organa prasy liberalnego kierunku, które bywają oskarżane o socyalizm przez te same sfery rosyjskie, co się oburzają na klerykalizm i szlachetczyznę polską. Polakożercza prasa rosyjska ignoruje ten stan rzeczy, i bredzi ciągle o „szlachcie i o łacińtswie." Doszedłszy do tego wniosku niezaprzeczenie słusznego, autor wykazuje, że publicyści rosyjscy, którzy zarzucają polakom fanatyzm i szowinizm, sami grzeszą fanatyzmem i szowinizmem ze swojej strony.

Tak zwanych przez siebie fantastów i romantyków politycznych, którzy żyją tradycyą po stronie polskiej, autor zestawia z tymi rosyanami, którzy, jak się wyraża, „gotowi są

---

podobieństwo samo wyzwaliby do walki. W życiu, zarówno jak przed kratką sądową, lubił bronić spraw uważanych za zrozpaczone, a sprawa biednego Tomka Jędrasa należała do tej kategoryi.

Powstał więc odważny, niezachwiany, pan siebie, z pozoru chłodny zupełnie. Przeciw kwiecistej, szumnej, pełnej frazesów mowie prokuratora, wystąpił z wstrzemięźliwą wymową logiki. Nie próbował bynajmniej rozczulić nad losem swego klienta, powierzchowność jego nie nadawała się zupełnie do tej zużytej a tak często udającej się sztuki, wyszedł wprost z przeciwnego założenia. Tomek Jędras, przezwany dzikim Tomkiem, był brzydkim, nieokrzesanym, uosobiał nawet wobec mało rozwiniętej ludności miejskiej stopień niższy; na te wszystkie okoliczności położył on nacisk wyraźny; okoliczności te wpłynęły bowiem na położenie, jakie we wsi zajmował, na to, że był od wszystkich nielubiany, bo z nikim się nie zbliżał, las przenosił nad pole, las był mu miejscem rodzinnem, towarzystwem, najmilszem schronieniem. Ale czyż dla tego miał on być zbrodniarzem?

Życie jego całe było zagadkowem, mówili świadkowie. Zagadkowem jest wszystko na świecie, co niższem lub wyższem jest od zwykłego poziomu. Ludzie we wsi szydzili sobie z dzikiego Tomka, to też on od nich uciekał, a że od nich uciekał, posądzali go o wszystko złe, jakie się w niej spełniało, mówili, że musiał żyć z kradzieży, skoro nic nie robił, a przecież na kradzieży nie złapano go nigdy. Kury, gęsi, barany nawet ginęły ludziom—ale czyż on miał być za to odpowiedzialnym? Czy nie mógł znaleść się jaki sprytny złodziej, który wyzyskał niechęć ogólną i ku niemu zwrócił podejrzenia, ażeby skryć własne sprawki? Być może zresztą, że klient jego nie miał zbyt rozwiniętej idei własności, pod tym względem bronić go nie myślał, bo to nie należało do sprawy. Być może nawet, iż korzystał ze znajomości lasu i obyczajów leśnych mieszkańców, by zabijać cichaczem zwierzynę; wszakże lud nasz uważa powszechnie, iż to, co nie wymaga pracy, ani kosztu, jest osobnym rodzajem własności i nie ma za złe jej naruszenia; wszak dowodzi czynem i słowem, że las, pastwisko, woda, tak jak powietrze powinny do wszystkich należyć.

Zapewne tutaj było źródło dobrobytu Jędrasa, i źródła tego pochwalać nie można; przecież pomiędzy podobną kradzieżą a morderstwem, morderstwem spełnionem rozmyślnie, jest przestrzeń olbrzymia, i nic nie upoważnia do przypuszczeń, iż Jędras ją przekroczył.

Jakież bowiem dowody walczą przeciwko niemu?

Tutaj płynna, jędrna, pełna ścisłej logiki wymowa młodego obrońcy zaczęła powoli podbijać słuchaczów, głos jego zrazu nieco stłumiony, rozbrzmiewał teraz metalicznie, miał elektryzujące dźwięki głębokiego przekonania.

Widziano Jędrasa, gdy szedł do lasu i niczem tego faktu umotywować nie mógł. Ależ on go motywować nie potrzebował, las zastępował mu chatę, opustoszałą po śmierci starej matki. Nie potrzebował tłomaczyć się z rzeczy, która była jego zwyczajem, a potem mógł sam mieć niezbyt legalne czynności do spełnienia.

Wszystko to usprawiedliwiało wędrówkę Jędrasa do lasu, ale nie tłomaczyło wcale dwóch najbardziej obciążających faktów: pałki skrwawionej i pugilaresu Arona; te dwa przedmioty leżały na stole jako niemi oskarżyciele, przemawiający niezbitą wymową faktów.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Walerya Marrené.

zetrzeć z oblicza ziemi narodowość polską, zruszczyć wszystkich mieszkańców Królestwa i wszystkie polskie czcionki drukarskie przelać na rosyjską graždankę.“ Ależ to są żywioły nieprzejednane, o nich i z nimi niema co mówić. Chcąc traktować kwestyę pojednania, należy odwoływać się do tych prądów, które zbliżyć się do siebie dadzą, a które w dzisiejszem społeczeństwie polskiem, zdaniem autora, istnieją, tylko ich druga strona poznać nie umie.

Skończywszy w ten sposób z nieznajomością rzeczy, jaką okazują publicyści rosyjscy, traktujący kwestyę polską, autor przechodzi do formy ich działania, a zaznaczywszy, że biorą się do rzeczy nie tak, jak należy, taką im daje radę: „Nie wymyślajcie na polaków za to, co oni robią w Galicyi, jako za czyny nam wrogie; lecz starajcie się wykazać niesłuszność ich postępowania (polonizacya rusinów). Nie mówcie do nich: myśmy od was silniejsi, więc my, a nie wy będziecie panowali; lecz rozwijajcie przed nimi wzajemne korzyści zbliżenia, korzyści, jakie to zbliżenie przynieść może obu stronom. Nie odwołujcie się nieustannie do faktów, świadczących o teraźniejszych nieprzyjaznych stosunkach między polakami a rosyanami, jako na argument niemożliwości pojednania, ponieważ sama jego idea właśnie dlatego tylko ma znaczenie, że trzeba położyć koniec nieprzyjaźni, o której wy tak chętnie się rozwodzicie. Podnoście raczej nowe objawy, zwiastuny poczynającego się zbliżenia. Wykazujcie, co mianowicie powoduje, że to zbliżenie postępuje wolno, i nie zapominajcie też o tych wyjątkowych stosunkach, w jakich znajdują się polacy i o tych przeszkodach w zbliżeniu, które wypływają z działalności wielu rosyan. Miejcie na względzie, że pojednanie nie spadnie z nieba, lecz że trzeba dlań grunt przygotować, a zająć się tem powinniśmy my sami. A więc pracujcie nad tem, aby wynaleść sprawiedliwe rozstrzygnięcie kwestyi, nad tem, aby i druga strona zaczęła uważniej wsłuchiwać się w nasz głos i traktować nas z szacunkiem.“ Autor nie wątpi o dobrych rezultatach takiej taktyki, a przedsmak tych rezultatów — powiada — daje się czuć już teraz. „Istnieje niemało faktów, które świadczą, że polacy w Królestwie umieją cenić wszelkie beznamiętne zachowanie się wobec nich tak ze strony jednostek rosyjskich, wśród nich żyjących, jak ze strony prasy petersburskiej. Źle przeto, że tak rzadko wogóle objawia się między nami bezstronność względem polaków, że jest w Polsce jeszcze wielu rosyan, którzy stawią sobie za zadanie być niepopularnymi u ludności miejscowej, i że w całej prasie tak często się pojawiają zaczepne artykuły,“ i t. d. Dłuższy ustęp poświęca dalej autor germanizmowi, jako wspólnemu nieprzyjacielowi wszystkich słowian. Sprawa rosyjsko-polska łączy się z germanizmem ściśle, bo — powiada autor — my rosyanie zawsześmy współdziałali w niemczeniu Polski, a zamiast w germanizmie widzieć wroga, są między nami tacy, którzy gotowi błogosławić niemców, pochłaniających Polskę za to, że nas ona nie lubi.“ Tu już kończy się wszystko, co może wytworzyć zaślepienie namiętności i zapoznanie własnych interesów, które wymagają, aby Polska ocalała przed naporem germanizmu.

Na tem się zatrzymuje objektywna treść artykułu. Reasumując raz jeszcze wyrażone w nim myśli, autor stawia twierdzenie że: „o kwestyi polskiej najwięcej rozprawiają ludzie, którzy najmniej mają warunków być pojednawcami; do traktowania sprawy przystępują zwykle z fałszywej strony, bądź to zajmując się wyłącznie „polakami zagranicznymi“ bądź błądząc w ponurej przeszłości; na drodze wreszcie staje jeszcze fanatyzm i szowinizm. Są wyjątki, ale tych bardzo mało. Zatem obwiniajmy sami siebie, że ustępując głosu w tak ważnej sprawie ludziom, którzy sobie założyli zagmatwać rzecz, nie osiągnęliśmy dotychczas zupełnego zaufania polaków do naszych pojednawczych dążności; nie sami tylko polacy winni są swojej wstrzemięźliwości w stosunkach do nas.“ Autor kończy wezwaniem do swoich rodaków, aby bez względu na to, jak odległem wydawać się może zakończenie starych rachunków rosyan z polakami, nie porzucali sprawy, pomnąc na słowa polskiego poety: Chociaż nie skończysz, ciągle rób: ciebie, nie dzieło porwie grób.“

Podaliśmy w streszczeniu głos *Rus. Myśli*, pozostawiając czytelnikowi opatrzenie go uwagami ze strony polskiej.

Badania przyrodnicze.

PRZEWROTY WE WSZECHŚWIECIE.

Teorya Falba [1]).

Rzadko książka pojawia się tak w porę, jak dzieło R. Falba. W chwili, gdy ziemia drżała, ustawicznie i coraz gwałtowniej wstrząsana, głos specyalnego w tym przedmiocie badacza był nader pożądanym. Człowiek, ulegający pogromowi natury, pragnie przynajmniej znać najodleglejsze przyczyny swego nieszczęścia.

Praca Falba zawiera trzy części: w pierwszej mówi autor o „regionach gwiazd,“ w drugiej — o „królestwie obłoków,“ w trzeciej — o „głębiach ziemi.“

Co stanowi istotę trzęsienia ziemi i wulkanów? Takie pytanie stawia sobie Falb i rozwiązaniu go poświęca wszystkie trzy księgi, odpierając jednocześnie poglądy, które z jego odpowiedzią się nie godzą. Ziemia ulega wstrząśnieniom nie z przyczyn wewnątrz niej spoczywających, lecz w stan ten wprawia ją niebo. Dla objaśnienia tego wpływu Falb kreśli sferę gwiazd, wysnuwając często myśli dla nauki nowe, chociaż nie obce. Cofa on się do początku świata. Natura kosmiczna umie tylko tworzyć mgławice a z mgławic słońca. Wszystko inne, jest wynikiem drugorzędnym. Planety są również słońcami. Cienka powłoka, która im pozornie nadaje inną, odrębną własność, nie zmienia głównej tendencyi natury kosmicznej. Ognista masa płynna — oto wszystko, co się porusza w przestrzeni świata wśród eteru. Wulkanem jest każda gwiazda, mimo że z czasem kamienieje. Chociażby miliony ciał niebieskich na swoich ochłodzonych skorupach, poprzedniczkach zupełnego skrzepnięcia, posiadały kawałek raju, w którym żywe stworzenia wygodnie się rozsiadły — rdzeniem ich jednak pozostaje zawsze wrzące morze ognia, wrogie wszelkiemu życiu, pełne huku i strasznych szamotań się. Fakt ten, uznany przez naukę, nie usuwa się ani na chwilę z przed oczu Falba i właściwie stanowi podstawę jego teoryi.

Z kolei mówi on o przyciąganiu. I znowu przystępują słońca, które rozważa w stosunku do tej siły. Słońca owe przyciągają się, widzimy tu tendencyę natury kosmicznej, która dąży do zjednoczenia wszystkich wulkanów w jedną kulę ognistą, do uczynienia jej skrzeplą, rozbicia na proch, sprowadzenia do stanu mgły i tym sposobem rozpoczęcia na nowo procesu, który z mgły tworzy słońca. Czemże jest drobny pyłek — ziemia, to na wpół skamieniałe dziecię słońca? W jej wnętrzu jeszcze wre; czuje się ona pociąganą, poruszaną, cierpi strasznie pod wpływem legionów gwiazd a przedewszystkiem od swego własnego słońca, które samo nie wolne, ulega władzy milionów innych. Księżyc, ten zupełnie skamieniały wnuk słońca, już odbył swoją walkę, padł na ofiarę natury i do niczego już nie jest zdolny, tylko do niepokojenia swej matki pozostałą resztką siły przyciągania, do wznoszenia jej mórz, do poruszania wiatrów i wewnętrznych żarów. Biedna ziemia! Pozwala ona wszystko z sobą robić i wogóle mówiąc—jest bierną; czynną jest tylko w rodzeniu niewielkiej ilości roślin i zwierząt, jak gdyby chciała ustroić się przed śmiercią.

Wpływ gwiazd na ziemię stanowi drugą księgę. Naturalnie wpływowi temu podlega nie ląd stały, lecz morze. Falb odróżnia trzy rodzaje mórz: wodne, powietrzne i ogniste. Jeżeli księżyc — powiada on — może poruszyć ciężkie morze wodne, dla czegóżby nie miał poruszyć powietrznego lub ognisto-płynnej masy wewnątrz ziemi? Dla czego słońce nie miałoby swoją siłą przyciągania poprzeć i spotęgować przyciągania księżyca? Wszystkie ruchy trzech mórz autor objaśnia siedmioma „czynnikami przypływu.“ Pierwszym z nich jest zbliżenie się słońca do ziemi 1 stycznia; drugim—zbliżenie się księżyca podczas pełni. W obu tych wypadkach wezbranie musi być największem, gdyż fala słońca łączy się z falą księżyca. Trzecim czynnikiem jest stanowisko księżyca podczas ostatniej i pierwszej kwadry; wtedy wzniesienia wody ze strony dwu gwiazd są sobie przeciwne, ponieważ siły tych gwiazd wywierają przyciąganie w kierunku prostopadłym względem siebie; przypływ więc jest mniejszy. Do tegoż czynnika należy również nów. Podczas niego, podobnie jak podczas pełni, fale od słońca i księżyca wznoszą się jednocześnie. Czwartym czynnikiem jest siła odśrodkowa ziemi, która może współdziałać lub przeciwdziałać sile przyciągającej słońca. I tak, jeśli słońce znajduje się na zwrotniku t. j. o $23^1/_2$ stopnia od równika nieba, to siła odśrodkowa nie współdziała z przyciąganiem słońca. Co ono usiłuje przyciągnąć, to znów ziemia stara się odrzucić. Przeciwnie, gdy słońce znajduje się na równiku (21 marca i 23 września), wspomniane siły jednoczą się z sobą, wspomagają się nawzajem i wezbrania morza znowu stają się znaczne. Piąty czynnik jest identyczny z czwartym, z tą tylko różnicą, że na miejsce przyciągania słońca, wchodzi księżycowe. Z pozoru wydawaćby się mogło, że już niepodobna znaleść więcej czynników, mogących mieć wpływ na wezbrania. Ale Falb wpadł na nową myśl wciągnięcia w rachubę siły odśrodkowej obrotu ziemi naokoło słońca. Linija działania tej siły przypada prawie w jednym kierunku z liniją przyciągania księżyca, w ostatniej kwadrze — obie siły powiększają wezbrania. To jest czynnik szósty. Nakoniec istnieje jeszcze siódmy—„kwadratura,“ która wszelkie wezbrania, na powierzchni i w łonie ziemi, powiększa, mianowicie wtedy, kiedy księżyc znajduje się dokładnie na ekliptyce. Wówczas obie siły przyciągania, słoneczna i księżycowa, współdziałają wraz z siłą odśrodkową na morza i wzmagają przypływy.

Oto jest rdzeń drugiej księgi. W trzeciej przystępuje Falb do wykładu istoty trzęsienia ziemi. Zjawiska te są według niego „wybuchami wulkanicznymi, wywoływanymi przez ochładzanie się wnętrze ziemi, wspomaganymi *przez przyciąganie słońca i księżyca.*“ Parcie, wywierane przez każdą zastygłą skorupę ziemi na ognisto-płynne jej wnętrze, wypycha głębiej znajdującą się lawę do rozlicznych szczelin, kanałów; tu lawa napotyka swego sprzymierzeńca, wodę, i tworzy się para wodna, posiadająca nadzwyczajną prężność. Parcie wzrasta zarówno w kierunku ku skorupie ziemi jak i ku powierzchni słupa lawy. Powoli występuje ona z głębi, przyciągana

[1]) *Von den Umwälzungen im Weltall*, Wiedeń, Lipsk 1881.

przez księżyc i słońce, parta przez siły wewnętrzne. Wszystkie skały, żużle, głazy, zatykające wylot, wypycha do góry. Zbliża się wróg skryty—cicho, nieznacznie, najlżejsze drżenie gruntu nie zapowiada jego przyjścia. Ale gdy parcie doszło do największego natężenia, wtedy rzuca się lawa ze straszną siłą: następuje *wybuch*. Ale niezawsze wybuch musi się odbyć na powierzchni ziemi; odbywa się także w próżnych przestworach, podziemnych jaskiniach, często tak, że go nawet nie odczuwamy. Gdy się skończył i ziemia lawę połknęła napowrót lub też wylała na pola i miasta—słup tej ostatniej znowu opada. Ale podczas opadania uderza o ściany krateru a stąd powstaje drganie gruntu, które nazywamy trzęsieniem ziemi; a więc następuje ono *po* wybuchu, nie zaś, jak Humboldt sądził, przed wybuchem.

Trzęsienie ziemi jest rezonansem wzburzonej natury, która dąży do zamienienia w kamień każdego ciała niebieskiego. Z upływem tysiącoleci trzęsienia ziemi zmniejszą się, ognisto-płynne jądro zostanie przytłumione; ziemia nie będzie już miała ruchliwej zawartości, którąby słońca mogły przyciągać; tylko niestałe powietrze, ocean, będą się wznosiły ku słońcu, ale i one zostaną wyssane przez zbliżanie się słońca i księżyca — ziemia wszystko odda, zachowawszy sobie tylko kamień. Spadłszy na słońce, znowu się rozpali i rozproszy jako para i żar.

Trzęsienie więc jest właściwe wszystkim gwiazdom, które mają jeszcze cokolwiek życia w swem wnętrzu. Natura nie cierpi nic miękkiego i płynnego —pracuje wszędzie dla wywołania skrzepnięcia, jak to widać na każdej korze drzewa, na każdem źdźble trawy. Stwardnienie jest powłoką każdego życia, dopóki ono samo nie wyschnie.

Dalsze wywody co do trzęsień ziemi pozostawiamy studyom samego czytelnika. Nie możemy tu wydobywać całego bogactwa szczegółów tej pracy, w której niewiadomo, co bardziej podziwiać: umiejętność kojarzenia prawd naukowych, czy śmiałość snucia hypotez. Niezmiernie ożywiony tok słowa, rozlewającego się po stronicach jak ta lawa, która mu za przedmiot służy, nadaje książce Falba wielki urok.

E. R.

POGADANKI NAUKOWE.

O gramatyce porównawczej języków indoeuropejskich.

III.

W poprzedzającym wykładzie starałem się dać odpowiedź na pierwsze z pytań, postawionych na początku tego artykułu; pozostaje mi więc jeszcze odpowiedzieć na drugie pytanie: *co to takiego języki indoeuropejskie?* Ale wprzódy, nim odpowiem specyalnie na to pytanie, nie będzie od rzeczy objaśnić, co to są „języki pokrewne.“

Gdyby wszystkie języki pochodziły od jednego, t. j. były tylko różnemi modyfikacyami jednego i tego samego pierwotnego materyału językowego, w takim razie wszystkie one byłyby pokrewne między sobą; w takim razie nie byłoby potrzeby oddzielać pewnej grupy języków pokrewnych i przeciwstawiać ją wszystkim pozostałym językom. Ale na nieszczęście takich grup języków pokrewnych jest bardzo wiele, a skutkiem niedostatecznej znajomości języków nie wiadomo nawet, ile ich jest; między pojedyńczemi zaś grupami nie można dojrzeć najmniejszego pokrewieństwa. Można to objaśniać w ten sposób, że kiedy u różnych plemion powstawała i ostatecznie formowała się budowa języka, *jako już prawdziwego języka*, plemiona te nie znajdowały się między sobą w żadnych stosunkach i rozwinęły swoje języki zupełnie niezależnie jeden od drugiego, czyli inaczej, że języki pierwotne pojedyńczych plemion powstały w różnych miejscowościach kuli ziemskiej, bez jakiegokolwiekbądź wzajemnego wpływu. Zdaje się nawet, że niektórzy dzicy dotychczas nie rozwinęli ostatecznie swojego języka we właściwem znaczeniu tego wyrazu, i znajdują się jeszcze teraz w stanie przejściowym od stanu bezjęzykowego do zjawienia się prawdziwego języka.

Dochodząc podobieństw i różnic między językami niepokrewnymi, poszukując wogóle charakterystycznych, powszechnego znaczenia właściwości tych języków niepokrewnych, i na podstawie tych właściwości charakterystycznych określających ich (t. j. języków niepokrewnych) wzajemny stosunek, dajemy początek morfologicznej czyli *strukturnej klasyfikacyi* języków, która w każdym razie jest klasyfikacyą sztuczną, ponieważ nie odtwarza rzeczywistego, stopniowego rozgałęziania się przedmiotów opisywanych. Natomiast klasyfikacya w zakresie języków pokrewnych powinna być w miarę możności klasyfikacyą naturalną, t. j. powinna dążyć do takiego uporządkowania tych języków pokrewnych, które byłoby tylko, że tak powiem, powtórzeniem istotnie dokonanego procesu ich stopniowego rozdzielania się czyli dyferencyacyi.

Języki pokrewne nie są niczem innem, jak tylko różnemi przemianami jednego i tego samego języka pierwotnego. Dla objaśnienia tego wyrażenia, sądzę, nie będzie od rzeczy uciec się do następującego porównania:

Wystawmy sobie ogromną przestrzeń, pokrytą jednorodną masą trawy jednego i tego samego rodzaju. Gdyby warunki gruntu, klimatu i t. d. pozostały jedne i te same, gdyby wogóle trawa ta nie ulegała żadnym wpływom pobocznym, to pozostałaby na zawsze niezmienioną, przedstawiając zresztą w różnych miejscach zajmowanej przez nią przestrzeni pewną zaledwie dostrzegalną rozmaitość form i własności. Ale przypuśćmy, że część tej trawy zaniesioną została jakimś wypadkiem w inne mniej lub więcej oddalone miejsce, inna część znowu w inne miejsce i t. d., i że te nowe miejsca pobytu różnią się od pierwotnej ojczyzny opisywanej trawy i przedstawiają inne warunki dla jej życia i rozwoju. W takim razie rodzaj tej trawy w tych różnych miejscach powinien się koniecznie zmienić. Co więcej: przypuśćmy, że nawet w pierwotnej ojczyźnie, gdzie pozostała pewna część naszej trawy, zmieniły się warunki gruntu i klimatu; w takim razie nawet tam gatunek trawy będzie musiał się zmienić, t. j. ona przyjmie z czasem nową postać. Tym sposobem z dawnego rodzaju albo gatunku trawy nic nie pozostanie, i on będzie żył w dalszym ciągu tylko w swych różnorodnych potomkach, które będą wprawdzie podobne tak do niego, jak i między sobą, ale pomimo to nie będą nim samym, tylko jego różnorodnemi modyfikacyami.

Zastąpmy teraz trawę jakimkolwiek językiem pierwotnym, np. tym językiem, którym mówili przodkowie wszystkich indoeuropejczyków. Ci pierwotni indoeuropejczycy czyli *aryoeuropejczycy* zajmowali pewną przestrzeń, i w skutek tego ich język nie mógł być zupełnie jednakowym, ale powinien był przedstawiać pewne, chociażby nawet nieznaczne, odcienie dyalektyczne czyli dyalektyczne modyfikacye. Pewne okoliczności, walka o byt, burze historyczne i t. p. porwały z sobą w różne krainy pewną część tych indoeuropejczyków, którzy dla nas są przedewszystkim przedstawicielami języków indoeuropejskich. W nowych warunkach życia indoeuropejczycy, wychodźcy ze swojej pierwotnej ojczyzny, rozwinęli pierwotne odcienie dialektyczne w różne języki samodzielne, które są wprawdzie prostą kontynuacyą języka pierwotnego i rozmaitemi jego modyfikacyami, lecz już w żaden sposób nie mogą być z nim utożsamiane. Ale nawet część indoeuropejczyków, pozostała w ojczyźnie języka pierwotnego, nie mogła pozostać nieruchomą w stosunku do swego języka. Tu nie potrzeba było nawet żadnych zmian w warunkach gruntu lub klimatu, wystarczała ta okoliczność, że bezpośrednim żywym gruntem dla języka byli i są jego przedstawiciele, t. j. ludzie nim mówiący, których wrodzone dążności organiczne i psychiczne powinny były wywoływać ciągłe zmiany właściwego im języka i następnie—jego rozpadnięcie się na narzecza i gwary, różniące się mniej więcej między sobą. W ten sposób z języka pierwotnego nic nie pozostało, pozostały tylko jego różne odbicia czyli refleksy w jego pojedyńczych potomkach czyli modyfikacyach. Język pierwotny przedstawia, że tak powiem, „wspólny mianownik“ dla wszystkich pochodzących od niego języków. Dla tego cokolwiek jest naiwnie uważać np. sanskryt za źródło, z którego pochodzą wszystkie inne języki indoeuropejskie: sanskryt jest to ani mniej, ani więcej, tylko taka sama modyfikacya języka pierwotnego, jaką przedstawia np. język litewski lub też pierwszy lepszy słowiański.

Ponieważ przy przeradzaniu się języka pierwotnego ulegała zmianie przedewszystkiem jego strona dźwiękowa, i ponieważ to przeradzanie się odbywało się wszędzie na podstawie ściśle określonych praw, więc też najpierwszą, konieczną cechą pokrewieństwa genetycznego pewnej grupy języków są właśnie ściśle określone odpowiedniości dźwiękowe. Dopóki nie odkryto tych odpowiedniości, dopóty nie można mówić o pokrewieństwie genetycznem języków, które może sobie istnieje, ale nie dla badaczy ścisłych i gruntownych. Dla tego też wszelkie próby dowiedzenia pokrewieństwa genetycznego np. między językami aryoeuropejskimi i semityckimi, albo też między językami aryoeuropejskimi i fińsko-turkskimi (turańskimi), rozbijały się właśnie o niemożliwość wynalezienia podobnych, ściśle określonych odpowiedniości dźwiękowych między porównywanemi grupami języków.

Bezpośrednim skutkiem stałych odpowiedniości dźwiękowych jest możliwość *przekładu fonetycznego* z jednego języka na drugi mu pokrewny, czyli możliwość wyrażenia każdego niezapożyczonego wyrazu jednego języka w formie dźwiękowej drugiego, zgodnie z odkrytemi i ustanowionemi odpowiedniościami dźwiękowemi, i bez względu na to, czy dany wyraz istnieje w tym drugim języku, czy też nie. Jeżeli nie istnieje, to jednakże, *gdyby istniał*, powinienby koniecznie istnieć w tej odtworzonej postaci. Przytem wszystkie wyrazy porównywane należy przedewszystkiem dzielić na ich znaczeniowe (morfologiczne) części składowe czyli *morfemy*. Morfema jest to suma dźwięków (głosek, brzmień) i wogóle własności dźwiękowych, z którą łączy się pewien odcień znaczenia, i która pod tym względem jest całkiem niepodzielną [1]).

*

* *

[1]) Objaśnienie tego ogólnego wywodu zapomocą przykładów szczególnych opuszczamy. Po tem objaśnieniu autor dzieli szczep indoeuropejski na następujące familie: wedaiczną, irańską, grecką, albańską, italską (romańską), celtycką, germańską, litewską i słowiańską. Prof. B. każdą z tych grup w swym artykule charakteryzuje szczegółowo. Jakkolwiek część ta jest nader ciekawą, rozmiarem swoim przechodzi granice naszego pisma; i dla tego pomijając inne familie języków, przeprowadzamy czytelnika odrazu do dwu ostatnich, dla nas najważniejszych: *litewskiej* i *słowiańskiej* (*Red.*).

Familia *litewska* należy do najmniej licznych szczepu aryoeuropejskiego. Pod tym względem można postawić obok niej tylko albańczyków (najnieliczniejszych) i teraźniejszych celtów (których jest trochę więcej. aniżeli litwinów z łotyszami).

Familia litewska wogóle dzieli się na dwie grupy: 1) *litewską* w ścisłem znaczeniu tego wyrazu i 2) *łotyską* czyli *łotewską*.

Jeden z dyalektów rodziny *litewskiej* w ścisłem znaczeniu dochował się tylko w skąpych zabytkach piśmiennych z XVI stulecia, ale w żywem użyciu przestał istnieć, ponieważ potomkowie tych, co nim niegdyś mówili, zniemczyli się, przekazawszy swoje imię państwu, które stworzyło w najnowszych czasach cesarstwo niemieckie i stanęło na jego czele. Jest to język *staro-pruski* (altpreussisch), t. j. język starożytnych *prusów* czyli *prusaków*, w części wytępionych, w części zaś assymilowanych przez niemców-krzyżaków, którzy zapożyczyli od nich ich nazwy, jako nazwy geograficznej, t. j. kraju, w którym mieszkali starożytni pruscy-litwini.

Obecnie litwini mieszkają w Prusach Wschodnich, a głównie w Rosyi i Królestwie Polskiem (t. j. w guberniach kowieńskiej, w części wileńskiej i suwalskiej). Gwary litewskie dzielą się na kilka grup. Najwybitniejsze (chociaż w rzeczy samej bardzo nieznaczne) różnice istnieją między litwinami „górnymi" (Hochlitauer) czyli *litwinami* w ścisłem znaczeniu i między *żmudzinami* czyli *żemajcziami* (Samogitier). Należy zresztą zauważyć, że nazwy „żmudzini" i „litwini" w znaczeniu lingwistyczno-etnograficznem wcale nie są identyczne z ich znaczeniem historycznem i z teraźniejszem użyciem popularnem. Wielu nazywa „żmudzinami" wszystkich prawdziwych litwinów, w przeciwstawieniu do „litwinów," t. j. do ludzi, mieszkających wprawdzie na Litwie, ale będących nie litewskiego, lecz słowiańskiego pochodzenia etnograficznego, albo też w przeciwstawieniu do „litwinów," jako wogóle mieszkańców Litwy *historycznej*, bez względu na ich pochodzenie. Przy takim poglądzie na rzeczy zamiast nazwy „język litewski" używają nazwy „język żmudzki" lub „język żmujdzki."

Język litewski wypada pod pewnym względem uważać za język literatury, gdyż służy on za organ osobnego piśmiennictwa, składającego się nie z samych tylko tak zwanych płodów twórczości ludowej, ale także z dzieł z charakterem indywidualnym. Dawniej główne ognisko działalności literackiej litwinów było w granicach państwa rosyjskiego; teraz przeniosło się ono do Prus, gdzie nawet założono w Tylży towarzystwo miłośników języka i literatury litewskiej. Rozkwitowi literatury litewskiej w granicach państwa rosyjskiego przeszkadzały i przeszkadzają zupełnie poboczne wpływy. Należy zauważyć, że mało jest wspólności między działalnością literacką litwinów w Rosyi i w Prusach. Rozdziela ich najprzód należenie do różnych osobników państwowych, a powtóre religia: litwini rusko-polscy są katolikami, pruscy zaś — luteranami. A jak wiadomo, u ludów nie nazbyt wysokiego rozwoju cywilizacyjnego religia gra w objawach literackich niepoślednią rolę.

W daleko lepszych okolicznościach znajdują się się *łotysze*, ponieważ w swoich usiłowaniach stworzenia i rozwinięcia własnej literatury znajdują silne poparcie właśnie z tej strony, która wszelkiemi siłami stara się przeszkodzić rowojowi samoistnej literatury litewskiej. Plemię, mówiące gwarami *łotyskiemi* czyli *łotewskiemi*, z pośród których wyrósł język literacki *łotyski* czyli *łotewski*, mieszka w guberniach: kurlandzkiej, w połowie inflanckiej i (w niewielkiej ilości) w witebskiej. Łotysze wyznają głównie religię protestancką.

Z żyjących obecnie języków aroyeuropejskich język *litewski* zachował najstarożytniejszy stan, tak ze strony dźwięków, jak i ze strony form. Pod tym względem niewiele ustępuje sanskrytowi. Ale badanie języka litewskiego dla celów czysto lingwistycznych jest daleko ważniejsze od badania sanskrytu, i to głównie dla tego, że sanskryt dochował się tylko w zabytkach, a język litewski żyje dotychczas w ustach ludu. Zawsze możemy sprawdzić powstające wątpliwości i zbadać ten język we wszystkich jego modyfikacyach do najdrobniejszych subtelności i szczegółów. Możemy go obserwować bezpośrednio, a nawet robić w jego zakresie pewnego rodzaju doświadczenia, np. odnośnie do jego strony antropofonicznej (dźwięko-fizyologicznej); gdy tymczasem, mając do czynienia z zabytkami sanskryckimi, co do niektórych bardzo ważnych właściwości języka tych zabytków jesteśmy skazani na wieczną niewiadomość.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

J. Baudouin de Courtenay.

Historya Polski.

Źródła dziejowe, tom VIII: *Skarbowość w Polsce* i jej dzieje za Stefana Batorego, przedstawił Adolf Pawiński, Warszawa 1881.

I znowu niezmordowany a rzetelnie zasłużony badacz, prof. Pawiński, zaczerpnąwszy w *Źródłach dziejowych*, dał nam książkę wielkiego znaczenia. Nie jestto już surowy materyał, ale sumienne, gruntowne i wyczerpujące opracowanie przedmiotu, który ze składów archiwalnych po raz pierwszy wygląda na światło literatury.

Spuścizna po jedenastoletnich rządach Batorego, powiada autor, okazała się najobfitszą i najpełniejszą, najmniej przez czas spustoszoną. Rejestra podskarbińskie, lustracye starostw i królewszczyzn, księgi poborowe wszelkich podatków, księgi kwarciane, — do których dodać możemy księgi asygnacyj i pokwitowań—dały „moc szczegółów, z których badacz nie tylko zarys przedstawić, ale i całe dzieje gospodarstwa skarbowego odtworzyć był w stanie."

Obfitość ta źródeł spowodowała autora do wydania naprzód pracy obecnej, która ma służyć za przygotowanie do całkowitej osnowy dziejów Stefana Batorego a przytem za pochodnię do rozświecenia spraw skarbowych wcześniejszej doby Zygmuntów, z której rozproszone i zatarte wiadomości może już nie pozwolą odtworzyć pełnego obrazu.

Przy całej jednak obfitości materyału, uporządkowanie go i ugrupowanie było zadaniem niełatwem.

Mamy z zasady głęboki szacunek dla wszelkich badań „u źródeł." Wymagają one bowiem wielkiego mozołu i zamiłowania przedmiotu, przedstawiają zwykle prawdy dziejowe w sposób objektywny, bez żadnego zabarwienia jakąś ideą przewodnią, czy to prawno-państwową, czy religijną, czy też ideą posłannictwa lub prawomyślności.

Zasługę prof. P. podnosi jeszcze ta okoliczność, że zajął się przedmiotem, bardzo mało dotykanym. Oprócz bowiem *Trzech rozdziałów z dziejów skarbowości naszej*, nie posiadaliśmy na tem polu żadnej pracy poważniejszej. Tymczasem dla zrozumienia przeszłości zawsze pamiętać trzeba, że w każdym wypadku, w każdem miejscu i epoce, oprócz przyczyn głównych i widocznych, około których obracały się zdarzenia, działały nadto inne sprężyny i dźwignie, ukryte lub przynajmniej nie tak łatwo dostrzedz się dające, których wpływ w skutkach nieraz dotkliwie uczuć się dawał.

Treść książki rozmieszczona jest w ośmiu rozdziałach, z których cztery zawierają szczegółowy opis wszelkich źródeł dochodu, z jakich zasilały się oba skarby koronne: nadworny i pospolity, oraz wydatków, jakie z obu skarbów były pokrywane. Dalej następuje przegląd długów, zaciąganych na potrzeby rzeczypospolitej, tudzież ówczesnych urządzeń skarbowych, nareszcie niezmiernie ważne i zajmujące streszczenie dziejów politycznych za Stefana Batorego ze strony skarbowej i krytyka ekonomiczna ówczesnych stosunków skarbowych.

Niezmiernej obfitości szczegółów i faktów całkiem nowych nie możemy tu wyczerpać nawet krótkiem streszczeniem. Zwrócimy więc uwagę na te jedynie ustępy, które, zdaniem naszem, wyskakują swem znaczeniem po nad inne i najlepiej uwydatniają wartość całego dzieła. Do nich zaliczyć należy ustęp o dobrach ziemskich królewskich. Dobra te, pomimo nieoględności poprzedników Batorego, przedstawiały wielką wartość. Dochód z nich bowiem całkowity brutto, czyli, jak go autor nazywa, szacunek roczny wynosił w r. 1579 około 1,162,500 złot. ówczesnych (przeszło 10,400.000 dzisiejszych). Ale z tego właśnie źródła czerpał skarb królewski jak najmniej, gdyż drobną tylko cząstkę wydzierżawiono starostom i innym tenutaryuszom, a jeszcze drobniejszą pozostawiono w bezpośredniej administracyi, t. j. według ówczesnego wyrażenia—oddawano do *wiernych rąk* (które często okazywały się bardzo niewiernemi). Szacunek roczny z tych dwóch kategoryj sięgał zaledwie około 228.000 złt., ale i z tego, po potrąceniu kwarty i wszystkiego, co się odliczało na *wychowanie* (utrzymanie) starostów, wpływało do skarbu zaledwie około 50.000 złotych.

Reszta była pod zastawem za sumy, pożyczone jeszcze przez obu Zygmuntów, lub w ręku dożywotników. Z dóbr tych skarb nadworny wcale nic nie miał; dożywotnią tylko opłacali kwartę do skarbu koronnego. Wszelkie usiłowania króla powiększenia dochodów z tego źródła pozostały bez skutku. Udało się wprawdzie zwolnić małą część dóbr z pod zastawu, ale za to liczba dożywoci nieco się zwiększyła, bo na takich, coby mieli prawo korzystać z łaski królewskiej, nigdy nie zbywało. Zmieniali się dożywotnicy, zmieniały się zasługi: miejsce dawnych dworaków zajęli wojacy z pod murów Gdańska, Wielkich Łuk i Pskowa.

Nie dawały się również zastosować uchwały za poprzedników Batorego wydane, w tej liczbie nowo wykryta przez autora ordynacya Henryka Walezyusza z r. 1574, (str. 21 i nast.) zmierzająca do określenia stosunku, w jakim starostowie i dzierżawcy mieli odliczać dochód na własne utrzymanie. Oczywiście pora już, pomimo całej energii króla, nie sprzyjała przekształceniom, których wymagało rządne gospodarstwo. Ręka magnatów już i wtedy zbyt szeroko rozpostarła się na mieniu królewskiem i rzeczypospolitej.

Drugim bardzo zajmującym i na nowych źródłach opartym jest ustęp, opisujący zabiegi króla około podwyższenia dochodu z żup solnych krakowskich, tym razem zupełnym skutkiem uwieńczone. Dochód ten bowiem, który w czasie przybycia Batorego do Polski (w r. 1576) wynosił zaledwie 24.000 złt., podniesiono do 66.000. Wiele tu jest wiadomości o dawnej administracyi żup, czerpanych z ich rewizyj, z metryk koronnych Archiwum Głównego koronnego.

Wogóle i co do innych źródeł dochodów skarbu nadwornego, usiłowania mądrego króla bezowocnemi nie były; udało mu się nawet wydobyć nowe i dość znaczne, jakiemi były cła portowe w Gdańsku, Elblągu i Rydze. Z źródłami temi dochód ogólny do skarbu nadwornego mógł za Ba-

torego wynosić, podług obliczenia autora, 180.000 złotych ówczesnych, co w każdym razie w porównaniu z dochodem za Zygmunta Augusta (122.000) lub Henryka (106.203 zlt.) znaczny stanowi przyrost.

Dochody skarbu pospolitego stałe, to jest kwarta z dóbr królewskich, wynosiły koło 90.000 złt.; *podatki zaś sejmowe*, uchwalane tylko w pewnych odstępach czasu, w miarę uznanej potrzeby na obronę rzeczypospolitej, mogły dać przy najpomyślniejszych okolicznościach najwyżej jednorazowo koło 550.000 złt., i to było wszystko, czem król mógł rozporządzać w czasie wypraw wojennych. Nic więc dziwnego, że gdy te środki nie wystarczały, zaciągano długi. Jednakże oględny król żadnych dóbr koronnych nie wydał na zastaw, a jedyną pożyczkę zagraniczną, w ilości 150.000 złp. zaciągniętą, spłacił po upływie dwóch lat.

Wielce zasługującym na uwagę jest rozdział, w którym autor rozbiera podatki sejmowe i stosunki skarbowe wogóle.

Już ze znajdujących się w *Voluminach legum* uniwersałów poborowych, możemy się przekonać, jak urozmaiconym był system poborowy; był tam i podatek gruntowy z łanów, i miejski z domów (szos), podatek z przemysłu, rzemiosł i handlu (nie licząc ceł stałych, które szły do skarbu nadwornego), z konsumcyi i trunków (czopowe) i z pogłównego. Ale cały ciężar tych opłat padał wyłącznie na stan kmiecy i miasta. Stany sejmujące, lubo umiały utyskiwać na przeciążenie kmiecia, nie zdobyły się jednak na to, aby ulżyć mu ciężaru własną kieszenią. Deklamowano wiele o poprawie rzeczypospolitej, o egzekucyi praw, ale w poprawie tej miano na widoku uregulowanie dochodu ze starostw i królewszczyzn, a właściwie—zwalenie na skarb nadworny ciężaru utrzymania siły zbrojnej.

Rozkład podatków był bardzo nierówny i niesprawiedliwy; pobór łanowy opłacano wszędzie jednostajny, bez względu na różnicę gleby i wielkości miary. Nie było w ogóle do poboru tego jednostki ustalonej, na co zwracali już uwagę statyści spółcześni, tacy jak Frycz Modrzewski. Toż samo rzec można i o podatku przemysłowym, którego rozkład nie odpowiadał ani rodzajom, ani zyskowności przemysłu. Cierpiał szczególnie na tem handel, zwłaszcza, że oprócz podatku sejmowego ciążyły na nim cła, idące do skarbu nadwornego, pobierane nie tylko od przedmiotów przywozu, ale i od wyprowadzonej za granicę produkcyi krajowej, że istniało prawo niedozwalające kupcom krajowym ani sprowadzać zagranicznych, ani wywozić krajowych towarów za granicę, że nareszcie szlachcie i pod tym względem przysługiwały przywileje, z których korzystała z uszczerbkiem ogółu, nie mówiąc o nadużyciach, jakie z tych przywilejów wynikały.

Najgłówniejszą jednak wadą podatków sejmowych była ta, że wcale stałymi nie były, ale byt swój i istnienie zawdzięczały oddzielnym za każdym razem uchwałom sejmowym. Uchwalano je więc w miarę potrzeby rzeczypospolitej; były lata poborowe, były i bezpodatkowe. Tym sposobem sprawa, która w każdym organizmie państwowym uważała się za zwyczajną i normalną, u nas przybierała charakter wyjątkowy. Rok poborowy był dobą paroksyzmu i nierozłącznej z nim wojny. Zwykły obowiązek stawał się ciężką ofiarą, prawie łaską.

Doraźność taka była główną przyczyną, że nie szukano środków do udoskonalenia systematu podatkowego przez rozkłady sprawiedliwsze, oraz przez rewizye i lustracye, któreby dały dokładniejszą wiadomość o stanie ekonomicznym kraju i o źródłach do opodatkowania. Nadto przypadkowość poborów była powodem większych nadużyć niż same wady systematu. Dla braku stałych wykazów poborcy łatwo mogli pomijać całe wsie, a szczególnie uchylać od podatku własne. W roku poborowym mógł kupiec zmniejszyć obroty handlowe, mieszczanin ograniczał wywar piwa, rzemieślnik zaniechał zajęcia.

Nader charakterystyczne pod tym względem przytacza autor objaśnienie piśmienne, złożone w r. 1578 na ręce poborcy sejmowego przez burmistrza i radę miasta Bydgoszczy (st. 434).

Do niemniej ważnych i najlepiej może obrobionych należy rozdział o dziejach politycznych, rozważonych pod względem skarbowym. Wysnuła się cała historya stosunków króla do sześciu sejmów, jakie odbyły się w przeciągu całego panowania; historya wypraw wojennych Batorego, przedstawiona ze strony zależności, jaka zachodziła pomiędzy pomyślnym przebiegiem wojny, a pieniężnym do niej zasobem. Szczególnie całe opowiadanie o sejmie warszawskim z r. 1571, z czasów wyprawy pskowskiej, oparte jest na źródle po raz pierwszy przez autora ujawnionem [1]). Rozdział ten jest wielce pouczającym; występują tu nie same już szeregi cyfr, retent i niedoborów. Po za szeregami tymi widzimy: samolubstwo magnatów, posiadaczy dóbr stołu królewskiego, upór szlachty, połączony z uczuciem pewnej względem panów zazdrości, ciasny egoizm w obronie przywileju rządzenia a niepłacenia, przywileju, tak niezgodnego z istotą prawdziwych urządzeń republikańskich. Po sześciu sejmach i ośmiu poborach król zaniechał wypraw wojennych i zstępował do grobu, żaląc się na niewdzięczność tych, dla których poświęcił swój kraj rodzinny, zrzekł się nadziei potomstwa i życie przyniósł w ofierze.

Nie byłaż to zapowiedź przyszłych losów rzeczypospolitej!...

Opis urządzeń i postępowania skarbowego stosunkowo niewiele miejsca zajmuje; bo też urządzenia te niezmierną odznaczały się prostotą i brakiem wszelkiej biurowości. Oprócz kilku przy podskarbich pisarzy cała operacya wykonywała się przez starostów i dzierżawców dochodów skarbowych, przez wyznaczonych na sejmach poborców, oraz *szafarzy*, przydawanych do czynienia wypłat ze skarbu pospolitego. Rachunkowość również była bardzo prosta; niekiedy robiono obliczenia przypuszczalne dochodów oczekiwanych, ale ani *percepta*, ani *expensa* wcale do tych obliczeń nie stosowały się. Podawano do rachunków tylko cyfry wpływów lub wydatków oczywistych, pomijając wszystko, co stanowiło niedobór lub co z dochodów wydał poborca przed przelewem percepty do skarbca. Ta też głównie okoliczność dziś stanowi przeszkodę do ścisłego obrachowania rzeczywistego dochodu obu skarbów koronnych.

Wzory tej rachunkowości ujrzymy w mających wkrótce wyjść z druku pięciu tomach właściwych *Źródeł dziejowych*, do których praca niniejsza tylko wstęp stanowi.

Prof. Pawiński w obecnej pracy zamknął swe badania w niedługim stosunkowo, bo jedenastoletnim tylko okresie rządów Stefana Batorego. Dlatego też niektóre rzeczy mogą się wydać niezupełnie wyjaśnione, tem bardziej, że, jak sam autor przyznaje (str. 379), za panowania Stefana nie było słychać o szerszych zamiarach przekształceń skarbowych. Wszystkie zasurządzenia w tej dziedzinie powstały za rządów poprzednich. Za Zygmunta I-go wydano ordynacyę skarbową i określono obowiązki pisarzy; stanęła po raz pierwszy uchwała o szafarzach skarbu pospolitego. Za Zygmunta Augusta podano instrukcye co do dzierżawców i poborców (str. 273—279), tudzież po raz pierwszy uchwalono *kwartę*. Nadto w konstytucyi sejmowej z r. 1563, znajdujemy z tego powodu pominiętą przez autora wskazówkę, w jaki sposób liczono dochód na starostów i dzierżawców, zanim stanęły przytaczane przez niego uchwały z lat 1567—1574 [1]).

Chcielibyśmy naprzykład wiedzieć, czy istniała jaka łączność historyczna pomiędzy ustanawianym na sejmach *poborem łanowym*, (str. 144 i dal.) a idącem do skarbu królewskiego *poradlnem* (str. 191), które to dwa pobory autor podaje jako całkiem oddzielne, zupełnie różne [2]).

Ale pamiętajmy, że autor obiecuje wyjaśnić zczasem dzieje skarbowe za Zygmunta Augusta i ogarnąć cały wiek XVI. Obecne dzieło stanowi tylko początek badań, które prof. P. rozpoczął od rzeczy późniejszych, przechodząc stopniowo do spraw dalszej przeszłości, to jest obrał metodę zwrotną, jedynie w tego rodzaju poszukiwaniach możliwą.

Niezależnie od dalszego ciągu, praca prof. P. i w dzisiejszej postaci posiada wartość znakomitą i stanowi nieoceniony nabytek w naszej literaturze historycznej.

Rozstając się z nią, zwrócimy uwagę na kilka niedokładności. Na str. 26 i 27 dwa razy powtarza się suma dochodu (z dzierżaw za r. 1578) 39.797 złt. Za każdym jednak razem cyfry, z których suma powstała są inne, skutkiem czego po zsumowaniu w pierwszym rachunku mielibyśmy zamiast 39.797, cyfrę 39.751, w drugim 39.726.

Na str. 317 powiedziano, że król po przybyciu do Polski złożył do rąk wojewody kamienieckiego 39.000 złt. (na rachunek przyrzeczonych w czasie elekcyi 200.000); potem oddał wojewodzie lubelskiemu 42.000, a po upływie niejakiego czasu jeszcze 83.233 złt. Razem powinnaby być suma 164.233 zł. Tymczasem król rzeczywiście wydał tylko 122.233 złt. 10 gr., która to suma powtarza się i na str. 322.

Na str. 428 podano sumę ogólną podatku szosowego z miast na 251.504 złt. tymczasem powinno być, jak na str. 157 —25.150.

Są to jednak drobne, zapewnie tylko w korekcie przeoczone usterki, nie odejmujące nic z wartości dzieła, które zasługi prof. Pawińskiego w naszej historyografii podnosi znacznie.

W. M.

LIBERUM VETO.

Wabienie się opryszków. — Polacy ojcami nihilizmu.— Właściwy jego rodzic.—Kto mu dał metodę. — Moralność „surowych środków.“—Kąt odbicia jest równy kątowi padania. — Toast p. Katkowa i jego ręka. — P. Pindter i jego obwinienia. — Na co kanclerz ma Tirasa. — Ślub *Prawdy* niezłamany. — Zjazd pocztowy.— Pytania. — Artykulik p Wierzchlejskiego. — Ostatnie pytanie.—Powrót wykładu języka polskiego. — Poetyczny obraz.

— Hop, hop! krzyknął w *Mosk. Wiedomostiach* p. Katkow.

---

[1]) Akt sejmu walnego warszawskiego in anno 1581, z rękopismu bibl. cesarskiej w Petersburgu.

[1]) Powiedziano tam: „że naprzód ze wszystkich dochodów każdego starostwa i każdej dzierżawy naszej królewskiej ma być odłożono na wychowanie starosty albo dzierżawcy, wedle rewizyi nowej, to, czemby się *mógł dobrze wychować*, potem wszystkie dochody mają być na cztery części rozdzielone i t. d. (*Vol leg.* II. str. 616 i 617). Zdaje się, że ten sposób *dobrego wychowania* przez wszystkie czasy przemagał nad wszelkiemi nowszemi ordynacyami.

[2]) J. W. Bandtkie w *Historyi prawa polskiego* 1850— (str. 384), twierdzi, że łanowe sejmowe było jednym podatkiem z królewszczyzną... Toż samo zdanie wypowiada A. W. Maciejowski w *Historyi prawodawstw słowiańskich*. (T. II § 301).

— Jestem! Odezwał się w bagnie *Nordd. Allg. Zng.* p. Pindter.

Usłyszawszy te znane głosy, zrozumieliśmy odrazu, na co dwa dziennikarskie opryszki się wabią. Upatrzyli oni sposobność zastąpienia z pałkami na drodze pchającemu swą ciężką taczkę wyrobnikowi polskiemu, ażeby zedrzeć z niego nawet nędzną sukmanę, którą grzbiet przyodział, odebrać mu wiązkę patyków, które sobie na ogień zebrał. Gdyby przynajmniej ta napaść odbyła się w imię siły! Nie, pp. Katków i Pindter uderzają nas swemi maczugami w imię.... sprawiedliwości. Polacy to bowiem winni, że rosyjscy nihiliści robią podkopy, rzucają bomby, mordują; polacy temu winni, gdyż (patrz Pindter) wprowadzili do Rosyi naukę spiskowania i (patrz Katkow) wnieśli truciznę pod postacią „sprawy polskiej.“ Panowie ci są bardzo wspaniałomyślni, bo któż im przeszkadzał do naszego rachunku wpisać jednoczesnych zamachów na życie cesarza Wilhelma i ks. Bismarcka, króla hiszpańskiego, włoskiego, królowej angielskiej, księcia serbskiego, a nawet sułtana? Przecie we wszystkich tych występkach można było również odkryć „rękę“ polską. Nie zrobili tego czujni jej łapacze, bądź przez miłosierdzie dla nas, bądź z przekonania, że w całej Europie królobójcy mają inny rodowód, tylko w Rosyi — polski. Jeśli wszakże my przyczyniliśmy się do wychowania nihilizmu rosyjskiego, zachodzi pytanie, kto nam socyalistyczne niemowlę podrzucił? W ostatnich latach — o czem dowiedzieliśmy się dopiero z gazet petersburskich — gronko młodzieży naszej, kształconej w instytucyach rosyjskich, zaplątało się w propagandę ewangelii rewolucyjnej i skończyło swoją karyerę w mniej lub więcej oddalonych guberniach Syberyi. Tymczasem wychowańcy instytucyj polskich, t. Szkoły Głównej, mimo że co do czasu bliżsi epoki, która miała wyrobić „truciznę,“ nie dostarczyli socyalizmowi ani jednego zapaśnika. W czasie, gdy p. Pindter już drzwi otwierał do gabinetu ks. Bismarcka socyalistom niemieckim a p. Katkow opisywał proces Nieczajewa, my w Szkole Głównej, szczerze mówiąc, nie wiedzieliśmy dobrze, co jest socyalizm. Jakimże więc sposobem polacy mogli zrodzić jego syna— nihilizm? A więc kto go zrodził w Rosyi? Chociaż dochodzenie ojcowstwa jest wzbronionem, ponieważ p. Katków chce nam je narzucić i wyprocesować, musimy naodwet zbadać jego stosunki. Jakie zasady moralne redaktor *Mosk. Wiedomostiej* zawsze głosił? Tępić, niszczyć, burzyć, wyrywać z korzeniem, zgładzać, słowem przedsiębrać najbardziej surowe środki — oto były jego rady i hasła. Co głoszą nihiliści? Tępić, niszczyć, burzyć, wyrywać z korzeniem, zgładzać, słowem przedsiębrać najbardziej surowe środki. Metoda jednakowa, różnica tylko w przedmiocie zagłady: tu nihilizm rewolucyi, tam nihilizm wstecznictwa. Oba rodzą się razem. P. Katkow, szerząc etykę zniszczenia, wskazywał zarówno swym sprzymierzeńcom jak i przeciwnikiem skuteczne środki do osiągnięcia celu. Zmiażdżyć, rozdeptać i zabić wszystko, co się opierało — taki był zawsze jego systemat, który się teraz nagle znalazł w ręku nihilistów. Walczą oni pod innym standarem, ale tąż samą bronią. Gdyby katkowscy ludożercy w młodą krew nie szczepili okrucieństwa, nie lekceważyłaby ona sobie później ludzkiego życia. Młode pokolenia, oswajane z systematem niszczenia, nie zadrżą przed użyciem go w każdej potrzebie. Kąt odbicia jest nietylko w fizyce równy kątowi padania; każde okrutne słowo, które katkowszczycy rzucili, odskakuje dziś i uderza w ofiary nihilistów. Nad grobami tych ofiar powinienby apologeta „krutych mier“ zrobić rachunek własnego sumienia i zapytać je: czy ono sobie nic nie wyrzuca, czy nie przyczyniło się niecem do obecnej walki i jej nieszczęść? Doprawdy nietrudno byłoby p. Katkowowi odebrać tę pałkę, z którą na nas wyszedł, i rozbić nią głowę Meduzy *Mosk. Wiedomosti*, gdyby ona już dawno nie była rozbita.

Gdy na uroczystości puszkinowskiej p. Katkow wzniósł toast, nikt się nie podniósł, gdy wyciągnął rękę, nikt mu swej nie podał. Jeżeli zaś tak nim wzgardzili rodacy, to nie dziwmyż się, że nauczony doświadczeniem w chwili „pojednania“ nie wznosi za nasze zdrowie toastu, ani nie podaje nam ręki. Trzyma on ją gniewnie w swej kieszeni, do której od roku już nie spływa lekko zarobionych 12,000 rs.

Pod tym ostatnim względem daleko szczęśliwszym jest jego sprzymierzeniec p. Pindter, który dotąd nie spadł z etatu, pobiera swoje (rzeczywiste) talary z gadzinowego funduszu i (moralne) policzki z prasy niemieckiej. Nie obawiajmy się wszakże oskarżeń tego grzechotnika, tańczącego w takt piszczałki niemieckiego derwisza; nie jest on szkodliwym, bo jest znanym. Wszystkie państwa, narody, stronnictwa, jednoski, niezaszczycone łaską pana, są według gorliwego sługi nihilistami. Nieotrzaskanych z tropieniem tego „króla ogarów“ dziwi nas to i oburza, że p. Pindter gniazdo nihilizmu między polakami odnalazł. Ależ tenże sam p. Pindter przed tygodniem nihilistami nazwał zwolenników wolnego handlu, do których w Niemczech należą nawet byli ministrowie (Delbrück). Nie należy więc tej denuncyacyi brać zbyt seryo. lecz tak np., jak ją bierze ks. Bismarck, który nie na to przecie trzyma sobie Tirasa, ażeby ten cudzą rękę lizał.

Prawda ślubowała ci kiedyś, czytelniku, i radziła innym pismom rzucony nam przez p. Katkowa w oczy piasek przesiewać przez rzadki przetak humoru; zdaje mi się, ża ślubu tegonie złamałem, chociaż wyznać muszę, że dopomógł mi w znacznej mierze „dobrowolnie rządowy“ p. Pindter, który ma dziwną własność rozśmieszania zarówno swemi obciętemi przez *Frankf. Zeitung* uszami, jak i oberwanym przez *Volkszeitung* ogonem.

Nie o samym nihilizmie polskim dowiadujemy się z gazet rosyjskich. Często bardzo one dopiero donoszą nam o tem, co się śród nas dzieje. Tak np. w *Poriadku* wyczytałem, czego nikt nie przeczuwał, że w Warszawie odbywa swe posiedzenia zjazd pocztowy, obradujący nad ulepszeniami w tej dziedzinie gospodarstwa społeczno-politycznego. W zjeździe owym przyjmują udział naczelnicy okręgów pocztowych: warszawskiego, wileńskiego, kowieńskiego, łomżyńskiego, piotrkowskiego i lubelskiego — pod prezydencyą specyalnie przysłanego z Petersburga urzędnika do szczególnych poruczeń. Ależ na litość, krzyczmy w niebogłosy, opowiedzmy co się u nas „po tej części“ dzieje, a jeśli tylko odrobina naszych skarg będzie wysłuchaną, zyskamy bardzo wiele. Przedewszystkiem zaś uwadze zjazdu polećmy następujące pytania: 1) Jakim sposobem tak ubezpieczyć gazety, ażeby one dochodziły do rąk abonentów, ażeby dochodziły w porę, niepomięte i nieponiszczone? 2) Jakim sposobem oduczyć panią pocztharterowę od rozlewania po pismach sosów? 3) Jakim sposobem odzwyczaić p. poczthaltera od niszczenia listów, z których nieostrożnie dla dzieci zdarł, uszkodziwszy kopertę, czerwoną lub zieloną markę zagraniczną? 4) Jakim sposobem wysyłać pod opaskami książki (bez zarekomendowania), ażeby one w drodze nie ginęły? 5) Jakim sposobem ułatwić publiczności naukę adresów i opakowania posyłek? 6) Jakim sposobem skrócić nieskończoną operacyę odbioru pieniędzy i pakietów? 7) Jakim wreszcie sposobem... Do tego pytania potrzebny nam jeden artykulik p. R. Wierzchlejskiego w *Gazecie Sądowej*. Autor jego wykazuje dowodnie z praktyki sądowej, do jakich nieporozumień może doprowadzić niewłaściwe tłomaczenie nazwisk polskich na język rosyjski. Często bowiem nazwiska te w przekładzie tworzą inne, również istniejące. Tak np. akt wystawiony na imię *Wawrzyńca Bogusza*, po rosyjsku przezwanego *Laurentym Bohuszem*, może akurat odnosić się do zupełnie innej osobistości. Nie biorąc nawet wypadków tak skrajnych, niektóre nazwiska są niezmiernie trudne do wyrażenia inną grafiką, a jeśli do tego dodamy niezręczność tłomaczeń i omyłki w odpisach lub drukach, to zrozumiemy gmatwaninę, jaka często zachodzi w kancelaryach i redakcyach. Ileż razy zdarza się, że abonentowi nazwiskiem *Piechowski* administracya wysyła gazetę pod adresem *Ićkowski*. Z tych właśnie pomyłek wypływa ostatnie pytanie do zjazdu pocztowego, mianowicie: czyby nie można pozwolić nam w obrębie Królestwa adresować tą grafiką, która jest w niem używaną i odpowiednią?

Ulgi takiej należałoby się spodziewać tem bardziej, że podobno niedługo zarówno do szkół jak do uniwersytetu ma powrócić jako osobny przedmiot język polski. Na katedrę historyi literatury polskiej podobno już nawet wybrano kandydata. Usiedliśmy nad brzegiem rzeki, obrywamy listki z kwiatu nadziei i rzucamy je na bystro płynące fale; może popłyną do... ministeryum oświaty i opowiedzą tam naszą tęsknotę. Poetyczny obraz — nie prawda? Oby zbyt długo tylko poetycznym nie został.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

„Nieprawdopodobne a jednak prawdziwe“ — powiada jedno z pism.

Czyż nieprawdopobne? Co u nas jest nieprawdopodobnego?

Fornalom ze wsi Sulikowa rozbiegały się w Sosnowcu konie. Dozorujący wozów karbowy, chcąc je powstrzymać, dostał się pod koła tak nieszczęśliwie, że one mu złamały cztery żebra. Zawożą go do szpitala miejscowego dla górników — szpital nie przyjmuje. Z kartką strażnika jedzie chory do szpitala powiatowego w Bendzinie (oddalonego o wiorst sześć). Ale i tu zarząd odmawia przyjęcia bez upoważnienia doktora szpitalnego, którego znowu nie ma w domu. Po dwukrotnym daremnym szturmie wiozą chorego do naczelnika straży ziemskiej — ale i tego nie ma. Jeszcze raz do szpitala.

— Zgłoście się jutro rano — odpowiadają.

Biedny wszakże karbowy z połamanemi żebrami czekać nie mógł, jemu było pilno do.... grobu. Jakoż przed ranem umarł.

„Jeżeliśmy nie wynaleźli prochu — powiada słynny satyryk rosyjski—jeżeliśmy nie wyprzedzili Europy na polu umysłowem i społecznem, to dla tego tylko, że nie było w tym przedmiocie żadnego rozporządzenia.“

Kiedyś i my tak o sobie będziemy mogli powiedzieć, skoro dziś odmawiamy umierającym pomocy dla tego, że nie mają kartki od lekarza lub naczelnika straży ziemskiej. W górach chowane są psy dla niesienia ratunku zasypanym w śniegu, które są tak głupie, że nikogo nie pytają o świadectwa. Nie tak postępują ludzie... w Sosnowcu i Bendzinie.

* *
*

W Olkuskiem nabył dobra Herr Müller, który natychmiast kazał polskim oficyalistom porzucić mowę ojczystą i przyswoić

sobie germańską. Biedni ludzie, którzy zarabiając na chleb nie mieli czasu na studya filologiczne, wysłali deputacyę do krzewiciela niemieckiej cywilizacyi, który im odpowiedział krzywdzącem słowem, a oni jemu... dobitnym ruchem spracowanej ręki. Oto rezultat, do jakiego, prędzej czy później, doprowadza „opłakane apostolstwo.“ Lada kolonista niemiecki, lada kiep teutoński sądzi, że może i powinien odbywać na niwie naszej bezkarny karczunek. Smutna dola!

* *
*

Tak zapewnie sądzi łomżyński zjazd sędziów. Prezes jego, mimo protestu prokuratora, odebrał w sprawie Kazimierza Karwowskiego przysięgę po rosyjsku od świadka, który zeznawał po polsku. Prokurator odwołał się do senatu, który, jak zwykle, wyrok skasował. Ciekawą doprawdy i niezmiernie charakterystyczną jest ta ciągła walka naszych Zjazdów z najwyższą instytucyą sądową — Senatem. Jak daleko owe Zjazdy wyszły po za granicę prawa, przekonywa fakt, że przeciw ich samowoli w przedmiocie języka polskiego zaczynają protestować prokuratorzy.

Zaiste dzieją się u nas rzeczy nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe.

S.

W PRZEDMIOCIE TAJEMNIC ŻYCIA DUSZY.

W 10-m numerze *Prawdy*, w artykule moim pod wyżej wymienionym tytułem znajduje się przypisek redakcyi, zaznaczający sprzeczność między moimi wywodami. Sprzeczność tę redakcya upatruje w tem, że dowodząc, jakoby „dusza jest czemś najzupełniej nam nieznanem,“ dowodzę zarazem, że *jest* niezmienną, niepodzielną, niezależną od wpływów wewnętrznych.“

Redakcya robi uwagę, że ta sfera zjawisk, którą pospolicie nazywamy duszą *nie* jest nam „najzupełniej nieznana,“ *ani* też na tyle znana, ażebyśmy rzec mogli, że stanowi „istotę niezmienną i niezależną od wpływów zewnętrznych.“

Uważam za stosowne, z powodu przytoczonego przypisku, powiedzieć parę słów na moje usprawiedliwienie, a uważam to za stosowne dlatego, że całą wartość, jaką mieć może moja praca, upatruję właśnie w tych wnioskach, w których znów redakcya upatruje sprzeczność.

Zarzuty redakcyi uważam za niesprawiedliwe. Przedewszystkiem dlatego, że nigdzie i nigdy nie mówiłem, jaką *jest* dusza, tylko jaką się być zdaje, a raczej jaką być musi.

Radbym bardzo i sam wiedzieć, jaką jest dusza i podzielić się tą wiadomością z żądnymi prawdy; ale niestety pozostaje to pragnienie pragnieniem. Owóż nie mogłem ostatecznie mówić o tem, jaką jest dusza i nie powiedziałem też tego. Co zaś do przypuszczeń, jaką dusza być może i musi — przypuszczenia te wypowiedziałem i, jeżeli okoliczności na to pozwolą, niejednokrotnie wypowiadać będę.

Znów co do moich przypuszczeń, jaką dusza być musi, te płyną wprost z rozbioru faktów i teoryj, o których w pracy mojej mowa. Argumenty moje są następujące. Miało miejsce pewne zjawisko. Przyczyną jego w żaden sposób nie może być materya, przyczyną więc jego musi być nie materya, lecz coś, czego nie znam wcale. Ale jeżeli materya nie może być jego przyczyną, więc to, co przyczyną jego być musi, bo znów niema skutku bez przyczyny, więc to, co jest jego przyczyną, musi być od materyi odmienne, bo gdyby było do niej podobne, nie mogłoby być przyczyną zjawiska.

Oto, dlaczego nie mówię, nie mówiłem i nie mogłem (nawet, pozostając w zgodzie z samym sobą, twierdzić jaką jest dusza, lecz tylko jaką być musi—w przypuszczeniu. Wogóle wnioski moje są hypotezą, a nie tezą; stąd zdaje mi się niesłusznie zostałem posądzony o nieścisłość, o sprzeczność. Być może, że wnioski moje są sprzeczne z czyimikolwiek innemi wnioskami, ale same z sobą są w najzupełniejszej harmonii i zgodzie, o ile o tem sądzić potrafię.

Co zaś jeszcze do tego, że dowodzę, jakoby istnieje dusza, *że ona jest*, nic znów w tem nie widzę sprzecznego z wnioskami moimi wogóle. Że dusza jest, dowodzę to argumentami. Jaką jest, nie wiem. Przypuszczam tylko, że jakąś być musi a także jaką — mniej więcej, prawdopodobnie, ale bynajmniej nie stanowczo. Wypowiedziawszy zaś podobne twierdzenie, nie widzę się wcale w położeniu samotnem, albo też wyjątkowem. Dowodzą np. fizycy, że jest siła, następnie utrzymują, że musi być taką lub inną, tworzą hypotezy, argumentują. Ale zarazem dowodzą, że siły — jaką jest takowa sama przez się —jej istoty nie znamy, że jest nie poznawalną. Jeżeli w ten sposób termin siła jest rzeczą zwykłą, stosować się to musi i powinno także i do duszy.

Jeżelim powiedział, że uważam za konieczność logiczną, za *corollarium* (a nie za koronę — jak błędnie i przez omyłkę zostało to wydrukowane) swych wniosków hypotezę o duszy, powiedziałem to dlatego, że do tego prowadzi rozumowanie moje. Może ktoś lepiej to odemnie zrobi i przekona, że się mylę; uchylę głowę, tymczasem pozostaję przy swoich przekonaniach, znajdując, że są konieczne wobec faktów i tego ich tłómaczenia, jakie mi jest znane.

Jeszcze jedna uwaga. Gdybym zamiast wyrazu „dusza“ do przypisku redakcyi wprowadził wyraz „materya,“ rzecz miałaby się tak.

„Jeżeli materya jest czemś najzupełniej nam nieznanem (a taką też jest rzeczywiście) to skąd wiemy, że ona (t. j. materya) jest i że jest zmienną, podzielną i t. d.? „Odpowiedź na to brzmiałaby“ *z faktów i z rozumowania.*“

Stosuję się to i duszy. A jeżeli powyższe rozumowanie jest dobre w stosunku do materyi, jest więc również dobre i słuszne w stosunku do duszy. Tylko nie tej, co w kominach jęczy, po nocach straszy i t. d., lecz tej, którą bada nauka.

Feliks Bogacki.

Przyp. Red. Zarówno i nam, jak i szan. współpracownikowi naszemu nie idzie o nic innego, tylko o porozumienie się w przedmiocie naukowym. Dla tego też nie kanonizując naszych twierdzeń, zrobimy jeszcze nad powyższą repliką kilka uwag. I tak:

1) Jeśli tylko utrzymuję, że cóś *jest* (np. dusza), tem samem wyznaję, że to cóś jest mi do pewnego stopnia znanem, gdyż w skład pojęcia bytu rzeczy muszą wchodzić wyobrażenia jej własności. Nic to nie znaczy, że te wyobrażenia mogą być mylne, że mogą mi *się zdawać*. Gdybyśmy na tej podstawie odmawiali sobie pewnej wiedzy, to winnibyśmy zrzec się całej, bo żadnej rzeczy samej w sobie nie znamy i poznać nigdy nie możemy.

2) Jeśli nadto wiem, jaką pewna rzecz być *musi*, tem bardziej nie mogę powiedzieć, że jej nie znam wcale. Gdy obliczeń wywnioskuję, jak wielkim *musi* być księżyć, nie mogę powiedzieć, że nie znam jego wielkości choć go łokciem zmierzyć nie mogę.

3) Jeśli wreszcie według poprawionej przez autora formy twierdzenia rzeknę: dusza *musi* być niemateryalną, niepodzielną, niezmienną, niezależną od wpływów zewnętrznych“ — czyż owa niemateryalność, niepodzielność, niezmienność, niezależność — czy te własności, bądź jako konieczne (*musi*), bądź jako hypotetyczne (*może*) nie stanowią znacznej sumy wiadomości o duszy i czy posiadając je, winienem wyznać, że o niej *nic* nie wiem?

---

13 MARCA.

W zeszłym numerze *Prawdy*, nakreśliliśmy w ogólnych rysach katastrofę petersburską z 13 marca. Dziś wypada nam ogólny jej zarys dopełnić szczegółami.

Jak wiadomo, Cesarz wracał przez wybrzeże kanału Ekateryneńskiego.

Nastąpił wybuch. Cesarz wysiadł z karety. Gdy przyprowadzono winowajcę, którego złapał felczer łącznie z policyantem i żołnierzem, Cesarz zbliżył się i wskazując wzrokiem na przestępcę, zapytał:

— Ten?

— Podaje się za mieszczanina Griaznowa, Wasza Cesarska Mość.

Cesarz spojrzał na winowajcę badawczo i głosem znamionującym zupełny spokój wewnętrzny: rzekł.

— Dobry! (Chorosz!).

Zaledwie odszedł kilka kroków, spadła druga bomba. Przeraźliwy huk ogłuszył wszystkich zebranych. Cesarz padł zalany krwią na ziemię. Z nóg pozostały tylko mięśnie łydkowe bez kości, twarz pokaleczona odłamkami pocisku i poparzona.

Zbroczonego krwią, konającego Cesarza odwieziono do pałacu.

Po zabalsamowaniu zwłok, przeniesiono je w dniu 15 b. m. do Wielkiej Cerkwi pałacu Zimowego, a 19 do cerkwi w twierdzy Petropawłowskiej.

O dwunastej w południe zatknięto na niej sztandar z cyframi zmarłego Cesarza. Działa dały hasło do żałobnego pochodu. Uderzono w dzwony wszystkich cerkwi. Orszak wyruszył z pałacu cesarkiego w kierunku Mikołajewskiego mostu. Za karawanem postępował Jego Cesarska Mość Aleksander III, obok szli członkowie rodziny Cesarskiej. Nad orszakiem powiewała czarna chorągiew z herbami państwa. W szeregu regalij i koron, jenerał Niepokojczycki niósł polską koronę Cesarzowej Anny Joanówny. Wojska tworzyły szpaler wzdłuż całej drogi. W pochodzie uczestniczyło 172 grup.

* *
*

Trudno uporządkować chaos najróżnorodniejszych i często sprzecznych wieści. Widać z nich jednak, że policya rozwinęła po katastrofie niezwykłą czynność, baczność i energię. Przetrząśnięto cały niemal Petersburg dla wyłonienia spiskowców. Rezultaty badań i poszukiwań były, jak się zdaje, pomyślne. Jak stwierdzono urzędownie, Cesarz Aleksader II był kilkakrotnie ostrzegany o niebezpieczeństwie, a nawet przysłano z zagranicy, na parę tygodni przed zamachem, pudełko na Imię Jego z receptą, objaśniającą zawartość. Miały to być pigułki przeciw astmie, na którą Cesarz cierpiał oddawna. Pudełko to zawierało masę, która miała wybuchnąć za zerwaniem nitki; że jednak przecięto nitkę scyzorykiem, wybuch nie nastąpił, dało się słyszeć tylko lekkie trzaśnięcie.

Właściwy zabójca, który padł od własnego pocisku i zaraz życie zakończył, nazywał się według jednych Fomin, według drugich Tiutczew. Ten zaś, który pierwszy rzucił bombę, zwie się, jak wiadomo, Rysakow.

Młodzieniec 20-letni, Rysakow zachowuje się przy badaniu krnąbrnie i uparcie; zeznania jego są małej wagi, policya jednak zdołała kilka z nich wyzyskać. Przedewszystkiem odnaleziono w nocy z 13 na 14 marca mieszkanie, z którego przestępcy otrzymali pocisk. Gospodarz jego — Nawrockij czy Fesienko — zastrzelił się po przybyciu policyi, dawszy przedtem pięć chybionych strzałów do swej spółtowarzyszki Hessy Helfmann, czy też, jak inni twierdzą, Dejcz, siostry znanego politycznego przestępcy. Ona to otworzyła drzwi policyi. Po rewizyi w mieszkaniu znaleziono wybuchające przyrządy i jeden egzemplarz rewolucyjnej proklamacyi. Kobietę aresztowano, a łącznie z nią aresztowano jakiegoś młodzieńca, który przybył do mieszkania podczas rewizyi. Ten ostatni strzelił sześć razy z rewolweru i ranił trzech policyantów. Odnalezione pociski wybuchowe pozwoliły władzom śledczym zbadać ich naturę. Pociski te z pozoru podobne do puszek cukierków Landrina, mające zaledwie 9 cali wysokości i 5 podstawy. Waga $6^3/_4$ funta. Wewnątrz rurka miedziana i szklanna z kwasem siarczanym nad rezerwoarem, w którym znajduje się chloran potasu z antymonem oraz ołów. Rurki kauczukowe łączą rezerwoar z bawełną strzelniczą, zmoczoną nitrogliceryną, oraz z piorunianem rtęci. Za wstrząśnieniem ołów rozbija szklanną rurkę, kwas siarczany wylewa się na chloran potasu i antymon, powstaje płomień, od którego wybucha piorunian rtęci, a od niej bawełna z nitrogliceryną.

Jak przekonywa okropny rezultat siła ich wybuchu olbrzymia. Na przestrzeni kilkudziesięciu kroków wszystko niszczą. Dość powiedzieć, że szyby domów na przeciwległym wybrzeżu kanału pękały.

To też pocisk wpadłszy w grupę kilkudziesięciu osób naokoło Cesarza — wszystkich położył na miejscu. Jedni zabici, drudzy ranni, inni ogłuchli na zawsze, inni omdleli. Zabitych troje, rannych 18 osób, z tych kilka już zmarło.

Jednocześnie prawie zaalarmowano Petersburg wieścią o odkryciu podkopu na ulicy Małej Sadowej i o zaaresztowaniu dwóch ważnych przestępców politycznych, z których jeden miał być przywódzcą partyi rewolucyjnej.

Od pewnego czasu policya zwróciła uwagę na pewne małżeństwo, utrzymujące sklep z serami przy ulicy Małej Sadowej, w suterynie jednego z domów, pod firmą Kobyzewa. Gospodyni sklepu nie wyglądała wcale na mieszczankę, paliła papierosy i ubierała się bardzo strojnie. To też, pod pozorem wilgoci, zagrażającej sąsiednim mieszkaniom, zarządzono rewizyę, która jednak nic podejrzanego nie wykryła. Dopiero w dniu 14 marca, chłopczyk, który przyszedł po ser, zauważył, że sklep jest otwarty, i że gospodarzy nie ma. Doniósł o tem stróżowi, ten zaś rewirowemu, zarządzono nową rewizyę, która tym razem wykazała, że sklep ukrywał wejście do podkopu.

W pierwszym pokoju znajdował się na składzie zapas sera i jaj, po za bufetem, w zwykłem, na prędce skleconem pudle znaleziono dwie butelki: jednę większą, z cieczą ciemno-brunatnego koloru i drugą mniejszą, z cieczą jasno-żółtą. W kącie znaleziono cztery elementy galwaniczne, prócz tego kupkę szmat szarych i niebieskich. W drugim pokoju, w którym znajdował się skład sklepu, pod oknem, rozpoczynała się za przepierzeniem z desek galerya podziemna, ciągnąca się w kierunku pionowym do ścian domu, ku środkowi ulicy Małej Sadowej. Początek tej galeryi miał kształt owalnego otworu w murowanym pokładzie fundamentu, o nieregularnych brzegach, dalej zaś szło wąskie przejście, mające 10 werszków w przecięciu, formy nieprawidłowej, podparte w kilku miejscach drewnianemi deskami. Na dnie tej galeryi leżały dwa druty i długi pręt żelazny. W odległości sążnia od początku galeryi, komunikacyę z miejscem, w którem była mina, zasypano tak, że trudno było przedostać się do miny od strony sklepu i dla tego postanowiono otwór wykopać w ulicy. Na noc robotę przerwano, gdyż mina groziła, w razie wybuchu, kilku wielkim domom.

Dopiero nazajutrz wydobyto ostrożnie dużą puszkę blaszaną, 20 cali wysokości i 9 cali w przecięciu, obwiązaną sznurkiem. Puszka zawierała masę wybuchającą, która, zdaniem biegłych, mogłaby wysadzić w powietrze znaczną przestrzeń ulicy Małej Sadowej wraz z przyległymi domami.

Podczas odkopywania aresztowano na Newskim Prospekcie kilka podejrzanych osobistości. Kobyzew z żoną, zemknął. Właściwe jego nazwisko ma być Orłow.

O zaaresztowaniu dwóch ważnych przestępców politycznych, z których jeden ma być jakoby przywódcą partyi nihilistycznej, drugi zaś uczestnikiem zeszłorocznego wybuchu na drodze łazowo-sewastopolskiej, ogłoszono następujące szczegóły.

Zarząd tajnej policyi w Petersburgu otrzymał na dzień przed zamachem wiadomość z zagranicy, że jeden z przywódzców partyi rewolucyjnej Trygonia, znany śród socyalistów pod przezwiskiem „Milorda" wyjechał do Petersburga. Istotnie, w parę dni potem, mężczyzna powierzchowności godnej z rysopisem zjawił się w stolicy i zmieniwszy kilka lokalów, zamieszkał na Newskim Prospekcie wprost pałacu Następcy Tronu, w pokojach meblowanych. Jednocześnie z nim, sąsiednie pokoje zajęli dwaj ajenci policyjni, którzy odtąd nie spuszczali go z oka. Minęło parę tygodni uporczywych śledzeń, aż w końcu wydany został rozkaz aresztowania przestępcy. Nastąpiło to w chwili, kiedy bawił u niego inny jakiś mężczyzna, „Piotr Iwanow." Milord (Trygonia) nie bronił się wcale, gość jego jednak opierał się długo i sięgnął nawet po rewolwer do kieszeni, ale policya go rozbroiła. „Piotr Iwanow" ma być, jak mówią, oddawna poszukiwanym przestępcą Żelabowem, znanym terrorystą i propagatorem podkopów, tak jak znowu Trygonia, zwolennikiem bomb.

Oprócz tych przestępców, zaaresztowano w zeszłym tygodniu kilkudziesięciu innych. I tak w dzielnicy, zwanej „Piaski" — złowiono gromadkę nihilistów, składającą się z 18 osób. Stwierdzono dalej, że cukiernia Isakowa na Newskim Prospekcie służyła za punkt schadzki. Aresztowano tam 72 osoby, z których uwolniono 56. Nadto, na konno-gwardyjskim pereułku, odkryto drukarnię rewolucyjnych proklamacyj, przyczem również aresztowano kilka osób. Dalej, w Moskie zatrzymano pewnego nihilistę, którego zeznania mają być niezmiernie ważne. Tamże schwytano roznosicieli odezw nihilistycznych. W domu, naprzeciwko sklepu z serem, nad cukiernią Balletta, zaaresztowano kilka osób podejrzanych, że miały dać sygnał Kobyzowowi do wysadzenia miny. Aresztowano nareszcie włościanina Tymoteusza Michajłowa, przy którym znaleziono wskazówki, dotyczące przygotowań nad kanałem Jekateryneńskim i podkopem na ulicy Małej Sadowej. Śledztwo w sprawie podkopu na Małej Sadowej wykryło tajemny związek z nihilistami kijowskimi.

Dotąd jeszcze policya robi coraz nowe zdobycze, co chwila telegramy donoszą o schwytaniu nowych przestępców. Tymczasem, śledztwo co do samego faktu 13 marca ukończono 20 b. m. Akt oskarżenia redaguje prokurator Izby sądowej Murawjew. Na ławach oskarżonych zasiędą: Mikołaj Rysakow, Andrzej Żelabow, Tymoteusz Michajłow, kobieta Hessa Helfman i kilku innych.

Na Nowym pereułku tłum ludu zbił dwóch przechodniów, którzy podarli wizerunek zgasłego Cesarza. W innem miejscu, mieszczanie pokaleczyli kułakami przechodnia, który rozdarł telegram, donoszący o śmierci Cesarza. Na miejsce katastrofy, na wybrzeżu Ekateryneńskiego kanału, tłumy kobiet i mężczyzn znoszą wieńce i kwiaty. Na miejscu katastrofy, obecnie ogrodzonem, stanie cerkiew.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 24 marca.

Na wstępie dzisiejszego numeru rozjaśniamy osobno najważniejszy akt polityczny obecnej chwili, okólnik ministeryalny o polityce Rosyi po zmianie Panującego; tu więc zajmiemy się pokrótce tylko pozostałemi sprawami porządku dziennego polityki.

Ubiegły tydzień ujrzał nareszcie jakiś w przybliżeniu przynajmniej prawdopodobny wynik działalności dyplomacyi w kwestyi greckiej. Przedstawiciele mocarstw kongresowych ukończyli konferencye z delegowanymi Porty Otomańskiej, którzy im złożyli zarys ustępstw terytoryalnych, do jakich Turcya jest jakoby gotową. Zarys ten obejmuje dość znaczne terytoryum w Tesalii, mały skrawek Epiru i wyspę Kretę, — tę ostatnią jako wynagrodzenie za uszczuplenie ustępstwa na stałym lądzie. Obecnie ambasadorowie obradują tylko sami z sobą, aby na podstawie tej oferty tureckiej wytknąć z pewnemi zmianami nowy projekt linii granicznej dla Grecyi. Tymczasem, niezależnie od tych dyplomatycznych trudów, strony sporne przygotowują się do wojny, której widoki nie zmniejszyły się dotychczas wcale. Przed kilku dniami sfery dyplomatyczne Londynu i Berlina, — jeśli wierzyć mamy telegramom gazet — przyszły już do tego przekonania, że wojna grecko-turecka na wiosnę jest pewną, a dyplomatyczne układy służą właściwie tylko do wypełnienia zbywającego czasu. Dziś rokują sprawie widoki cokolwiek lepsze, budując nadzieję na tej okoliczności, że stanowczo pokojowa tendencya Rosyi i Niemiec, z któremi solidaryzuje się i Austrya, wpłynie na poskromienie burzliwych żywiołów, a co najmniej odejmie tę podnietę, którą daje konkurencya między sprzecznemi interesami państw wielkich.

Ten ostatni wzgląd przybiera znowu chwilowo bardzo wybitne kształty. Następstwa okólnika rosyjskiego sięgają w opinii sfer politycznych tak daleko, że — jak czytamy w jednej z półurzędowych korespondencyj berlińskich—równają się poniekąd wznowieniu trójcesarskiego przymierza. Niema wprawdzie mowy o przymierzu formalnem, ale zastąpić je ma wzajemne popieranie się w polityce ogólno europejskiej ze strony wszystkich trzech wielkich cesarstw. Przymierze francusko-rosyjskie — powiada *Journal de St. Petersb.*, — „należy do niemożliwości nietylko dziś, ale i na długi czas jeszcze."

We Francyi sprawa reformy wyborczej, która przybrała w ostatnim czasie bardzo ostry charakter i o mało nie doprowadziła do przesilenia ministeryalnego, ułożyła się w końcu pomyślnie o tyle, że gabinet postanowił zachować wobec rozpraw w Izbie postawę neutralną. W ten sposób niebezpieczeństwo przesilenia zażegnano. Jestto nowe — częściowe wprawdzie tylko — zwycięstwo Gambetty.

Austro-Węgry zrobiły krok dalej ku ostatecznej aneksyi Bośni i Hercogowiny. Sporządzoną została ustawa o poborze bośniaków do wojska austryackiego. „Oku-

powane“ prowincye mają dostarczyć Austryi 20,000 rekruta.

Na innem miejscu dotykamy dziś wycieczki *Nord. Alg. Ztg.* przeciw polakom. Aby czytelnik mógł dobrze zrozumieć odnośny ustęp, przytoczymy tu w streszczeniu napaść berlińskiego organu. Z historyi rozwoju nihilizmu i szczegółów powstania 1863 r. *Nord. Allg.* przychodzi do wniosku, że polacy nie są wcale niewinnymi w obecnych wstrząśnieuiach rosyjskich. „W powstaniu 1863 r. polacy wyrobili sobie doskonałość (*Virtuosität*) w sztuce spiskowania i organizacyi obejmującego kraj cały tajnego rządu tak dalece, że przeszli swój wzór i nauczycieli: karbonarów.“ W Rosyi spiski szeroko rozgałęzione pojawiły się dopiero w r. 1872 a wśród osób oddanych sądom nie brakło zruszczonych nazwisk polskich. Stąd wniosek, że nihiliści wykształcili się na wzorach polskich organizacyj rewolucyjnych. Polacy mają w spiskowaniu pewien rodzaj sportu: wielu z nich niemiałoby co robić, gdyby nie spiskowali; zatem — „intelektualnych sprawców i podziemnych kierowników ataków na rząd rosyjski, szukać należy pomiędzy polakami.“ Taka jest treść tego „dobrowolnie“ gadzinowego ryku, który p. Pindter wydał tem swobodniej i bezczelniej, że mu za niego, jak za obrazę nienawistnych posłów sejmu niemieckiego, koza nie grozi. Odpiarać tę najemną malignę trudno, dla pokonania jej trzeba chyba kupić kilka akcyi towarzystwa banku, któremu p. Pindter, w wolnych chwilach od posługi u kanclerza, drogi prostuje.

S. S.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. Zakład narodowy imienia Ossolińskich we Lwowie wydał sprawozdanie z czynności za rok 1879. Ze sprawozdania tego dowiadujemy się, iż majątek zakładu z końcem roku 1879 wynosił 662,144 złr. $37^1/_2$ cent. Do biblioteki przy zakładzie istniejącej w ciągu roku 1879 przybyło dzieł drukowanych 2,103, rękopisów 122, autografów, dyplomów, rycin, obrazów, rzeczy muzealnych, atlasów, razem sztuk 1,124. Do sprawozdania dołączono odczytaną na posiedzeniu publicznem zakładu pracę d-ra Hirschberga p. t. *O dyplomacyi polskiej za Zygmunta I.*

Dyrektorem zakładu pozostał nadal dr. Wojciech Kętrzyński.

— W Frankfurcie nad Menem otwartą będzie w dniu 1 maja r. b. międzynarodowa wystawa balneologiczna.

— W Lublinie powstać ma wkrótce nowa księgarnia. Otwiera ją dotychczasowy współpracownik jednej z większych księgarni warszawskich.

Stowarzyszenia. Komisya Koła polskiego w Pradze czeskiej, na pierwszych dwu posiedzeniach, poleciła do przekładu na język czeski: W. Okońskiego nowele *O życie* i *Klemens Boruta* (nakładem zajął się pan Hovorka), Adama Pługa *Sroczkę* i St. Grudzińskiego *Dwie mogiły* (przekładu dokona p. Hudec), z czeskiego zaś na język polski cztery nowele Heritesa.

— W świeżo zatwierdzonej ustawie Koła polskiego w Pradze spotykamy, między innemi następujące paragrafy:

Celem Koła jest pielęgnowanie i rozszerzanie znajomości języka polskiego i literatury. Koło dzieli się na dwie sekcye: a) literacką i b) towarzyską. Do sekcyi literackiej należą literaci z powołania i przyjaciele piśmiennictwa polskiego. Jednym z zadań sekcyi literackiej jest rozszerzanie znajomości piśmiennictwa i języka polskiego na drodze praktycznej, zwłaszcza przez polecanie dzieł polskich do przekładu na język czeski i wogóle pośredniczy między piśmiennictwem polskim i czeskiem.

Przy obradach, zebraniach Koła polskie używa mowy polskiej i czeskiej. Językiem urzędowym Koła na wewnątrz jest polski, na zewnątrz zaś w Czechach język czeski.

— Ostatni wieczór tygodniowy w Krakowskiem Kole artystyczno-literackiem zgromadził znaczną liczbę osób. Część literacką stanowił „Ustęp o filozofii pozytywnej,“ opracowany przez p. Dłużniewskiego, oraz akt pierwszy najnowszego dramatu d-ra Adama Bełcikowskiego p. t. *Bolesław Śmiały.*

— Na posiedzeniu wydziału przyrodniczego poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, odbytem w dniu 17 b. m., hr. August Cieszkowski odczytał zajmującą nader pracę *O trzęsieniach ziemi.*

— W Paryżu, na posiedzeniu międzynarodowego Towarzystwa literackiego (*Association internationale literaire*), odbytem w dniu 14 b. m. pod przewodnictwem Wiktora Hugo, członek tegoż Towarzystwa, p. Władysław Gasztowtt miał odczyt *O poezyi polskiej w dziewiętnastym wieku.* Prelegent odczytał w własnem tłomaczeniu niektóre ustępy z utworów Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego.

Literatura polska. W osobnej odbitce z *Biblioteki umiejętności prawnych* wyszła praca prof. Okolskiego p. t. *Wykład prawa administracyjnego obowiązującego w Królestwie Polskiem.*

Dziennikarstwo polskie. *Tygodnik Powszechny* rozesłał prenumeratorom jako premium kopię z obrazu Wojciecha Gersona *Bolesław Krzywousty przyjmujący uroczyście Żelisława Belinę, wracającego z wyprawy morawskiej.* Rysunek dość sztywny, martwy.

— Ostatni zeszyt *Przeglądu technicznego* zawiera szkic do projektu gmachu Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie, sporządzony przez budowniczego Żochowskiego.

Literatura niemiecka. Otto Posse, archiwista w Dreznie, wydał na podstawie źródeł archiwalnych pracę historyczną p. t. *Die Markgrafen von Meissen und das Haus Wittin bis zum Konrad dem Grossen.* Dzieło to niezmiermie interesujące dla badaczy dziejów naszych, traktuje bowiem o często wspominanej w historyi polskiej Marchii Miśnijskiej.

— U Hallbirgera w Sztutgarcie wyjdzie w końcu bieżącego miesiąca nowy utwór prof. J. Ebersa p. t. *Eine Frage,* Idylle zu einem Gemälde von Alma Tadema.

Literatura francuska. Hektor Malot napisał nowy romans p. t. *Une famme d'argent.*

— Combier Emilien, *Essai sur le divorce et la separation de corps, suivi d'un étude sur la legislation etrangere.* Wydanie Pedone-Lauvicla w Paryżu.

— Chatain Marcel, *De la proprieté litteraire.* U Cotillona w Paryżu.

— W wydawnictwie popularnem *Bibliotheque utile,* ukazała się praca Pawła Bondois p. t. *L'Europe contemporaine depuis 1789 jusqu'à nos jours.*

— Nakładem księgarni C. Levy'ego, wyszło zajmujące dzieło A. Francka *Reformateurs publicistes de l'Europe. Ditseptième siecle.*

— W dalszym ciągu publikacyi *Collection de documents inédits sur l'histoire de France,* wyszły listy Katarzyny Medycejskiej, odnoszące się do okresu od 1553 do 1563 r. Dzieło to, wydane u Didota, nosi tytuł *Lettres de Catherine de Medicis; publieés par le comte Hector de la Ferrière.*

— *Revue Scientifique* pomieściło w Nr. 11 ciekawą pracę M. C. Vogta p. t. *Pochodzenie zwierząt ziemnych.*

Literatura włoska. Staraniem stacyi zoologicznej w Neapolu wyszedł 2-gi zeszyt dzieła p. t. *Fauna i flora w zatoce Neapolu i na sąsiednich wybrzeżach morskich.*

Literatura czeska. *Maticy czeskiej* wyszła *Hania* Sienkiewicza, w przekładzie Tomicza.

Literatura serbska. W zeszycie 124 *Latopisu Maticy serbskiej* wychodzącego w Nowym Sadzie pod redakcyą A. Hadzicza, pomieszczoną została rozprawa Łazarza Kosticza p. t. *O pięknie ze względu na piesni ludowe serbskie.*

Malarstwo i rzeźba. Obraz Hipolita Lipińskiego, przedstawiający scenę z wesela krakowskiego podczas pobytu cesarza Franciszka Józefa w Sukiennicach, a ofiarowany temuż przez radę powiatową krakowską, wystawiony został w Krakowie, poczem wysłany zostanie do Lwowa, w końcu zaś umieszczony być ma na wystawie wiedeńskiego Kunst-vereinu.

Muzyka. Wiktor Massé, kompozytor *Pawła i Wirginii,* napisał nową operę *Noc Kleopatry.*

Statystyka. *Liczba zakładów naukowych i uczących się w Warszawie* w roku bieżącym 1881 przedstawia się w następujących cyfrach, poczerpniętych ze źródeł urzędowych: W uniwersytecie studentów 990, w sześciu gimnazyach męzkich uczniów 3,039, w szkole realnej 446, w dwóch progimnazych męzkich 430, w szkole trzyklasowej miejskiej 133, w seminaryum nauczycielskiem 58, w czterdziestu innych rozmaitych szkołach (pensyonaty prywatne, początkowe miejskie i t. p.) męzkich 3,691. W zakładach naukowych specyalnych: W szkole weterynaryjnej 95, w klasie rysunkowej 254, w instytucie głuchoniemych i ociemniałych 255 (w tej liczbie uczniów 142, uczennic 113), w szkole niedzielno-handlowej 509, w trzynastu szkołach rzemieślniczo-niedzielnych 5,192. W zakładach naukowych żeńskich: W czterech gimnazych 1,345, w progimnazyum 199, w stu dwunastu innych rozmaitych szkołach (pensyonaty prywatne, początkowe miejskie, i t. p.) 5,722. W trzydziestu dwóch szkołach dla płci obojej (w tej liczbie kantoraty ewangelickie i szkoły dla izraelitów) 2,433 (uczniów 1,311, uczennic 1,132). Ogółem Warszawa liczy obecnie *dwieście ośmnaście* zakładów naukowych, do których uczęszcza uczniów 16,290, uczennic 8,511, razem *dwadzieścia cztery tysiące ośmsetjeden* uczących się. Nadmieniamy przy tej sposobności, że w ciągu ubiegłego roku 1880 otwarto w Warszawie 26 zakładow naukowych, a mianowicie: 2 szkoły jednoklasowe miejskie (męzką i żeńską), 23 prywatnych (1 męzką, 19 żeńskich i 3 dla izraelitów) i jedną rzemieślniczo-niedzielną; zamknięto zaś zakładów prywatnych 11 (1 męzki, 8 żeńskich i 2 dla izraelitów).

Teatr. Na scenie teatru wschodniego w Berlinie wystawiono komedyę Rob. Waldmüllera (Duboca) p. t. *Córka prezydenta.*

— W teatrze hamburskim wystawiono komedyę Michała Klapp p. t. *Glückshafen.* Jest to satyra obecnych stosunków dyplomatycznych.

— W paryskim Theatre français wystawiono poraz pierwszy niegraną nigdzie dotychczas trzyaktową komedyę Alfreda de Musset p. t. *Las quenouilles de Barberine.* W utworze tym Musset kruszy kopię w obronie cnoty kobiet, które wynosi pod niebiosa.

— W Sztutgarcie wystawiono sztukę Pol. Emmericka p. t. *Van Dyk.*

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. M. Ł. Nie rozumiemy, o co Panu idzie i czem *Wiek* zawinił.

P. B. Gh. „Si duo faciunt idem, non est idem.“ Co u prof. Jastrzębowskiego było uwagą, to u Darwina jest całą przyrodniczą teoryą.

P. Maryanowi L. w Mińsku. Projekt tej szkoły już dawno przesłany do Petersburga i już kilkakrotnie był bliskim potwierdzenia. Prawdopodobnie je zyska. Ustawy nie znamy.

P. I. S. w Petersburgu. List pański przesłaliśmy naszemu korespondentowi ze Lwowa, który na niego odpowie.

P. Józefowi M. w Petersburgu. Dotąd pismo to debitu u nas nie ma.

P. I. Piotr w Chełmie. Za dostarczenie pisma odpowiada kantor, w którym ono zostało zaprenumerowane, jak w tym wypadku, księgarnia Kahana. Niezależnie od tego przesłalibyśmy Panu zaginione numera, gdybyśmy je sami posiadali.

Uczniowi Szkoły Handlowej. Katalogu nie mamy, o cenie naszych wydawnictw dowie się pan w każdej księgarni lub w naszym kantorze.

P. Teodorowi Porajskiemu w Ryzonówce. Odebraliśmy dawniej rs. 4 (na *Prawdę* rs. 2 kop. 50 na Langego rs. 1 kop. 50), obecnie rs. 5; prenumerata więc *Prawdy* opłacona do 1 września.

NN-rów 2, 3 i 4 PRAWDY, z powodu ponownego wyczerpania, nowym abonentom dostarczyć nie możemy.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 13 Марта 1881г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.